

Stąpamy odważnie wśród cierni chwały

Szymon Szymański

UWAGA! Opowiadanie zawiera drastyczne opisy scen śmierci.

1.

Jedna z najgorszych rzeczy, jaka może się trafić żołnierzowi w pancerzu, to wzwód. Wcale nie dlatego, że robiło się ciasno. Po prostu widok rumuńskich dziewczyn rozpraszał, nie pozwalał skupić się na ważkich problemach, takich jak spodziewane bombardowanie albo niezapowiedziana kontrola motywacyjna z ministerstwa. I nie wiadomo, co gorsze. Wiadomo natomiast, że w Brasov, turystycznej stolicy środkowej Rumunii, dziewczyny były wyjątkowo gorące, bardzo patriotyczne i przychylne wojskom sprzymierzonym. Szczególne miejsce w sercach rumuńskich dziewcząt zajęli polscy żołnierze stanowiący stalowy grot natowskiej „Strzały”. Plutonowy Jacek Zieliński zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Dowodził siódmym plutonem czwartej kompanii, który składał się z dziewięciu operatorów bojowych pancerzy wspomaganych BPW Urta-6. A każdy operator to młody, sprawny i w zdecydowanej większości wolny mężczyzna.

Siódmy pluton, zwany Siódemką, wracał do bazy z ćwiczeń przed akcją. Maszerując ciasnymi ulicami rumuńskiego miasteczka oddział robił piorunujące wrażenie. Jednostajne warczenie silników, gwizd serwomotorów oraz ciężkie stąpanie dawało mieszkańcom miasta poczucie bezpieczeństwa. Każdy pancerz nieco się różnił od pozostałych, w zależności od funkcji w oddziale oraz fantazji operatora. Wszystkie jednak były masywne, dwunożne, wysokie na prawie trzy metry. Kanciaste płyty pancerza zachodziły na siebie jak elementy średniowiecznej zbroi. Z wyglądu mogły się kojarzyć z powolnym i pokracznym owadem, ale to mylne wrażenie. Wbrew pozorom Urte-6 zaprojektowano jako maszynę zwinną i wytrzymałą.

W drodze przez Brasov plutonowy Jacek Zieliński otworzył frontowe płyty pancerza, aby poczuć powiew letniego powietrza oraz żeby się pokazać obserwującym kolumnę Rumunom. Niech coś mam z tego, myślał sobie Jacek. Niech mnie podziwiają.

Sam plutonowy robił równie imponujące wrażenie, co jego pancerz. Był wysoki, wysportowany, bardziej przypominał kulturystę niż specjalistę inżyniera. Bycie operatorem Urty wymagało nie lada siły, a przy okazji wiedzy. Jacek wpatrywał się w zgromadzonych wzdłuż ulicy gapiów. Pochody wojsk natowskiej „Strzały” nie wzbudzały już takiego entuzjazmu jak tuż po rozpoczęciu wojny, ale nadal były witane przyjaznymi gestami i wdzięcznością. Oczywiście każde przejście oddziału pancerzy wspomaganych największą frajdę sprawiało dzieciom. Pewnego dnia polskim żołnierzom towarzyszył oddział pięciu chłopców ubranych w kartonowe pancerze, które pomalowali plakatówkami w polskie lub niemieckie barwy.

Jacek wypatrzył w tłumie Kristinę. Mimo upału, nosiła mocno przylegające spodnie, co podkreślało kształt jej pośladków. Czarna, obcisła bluza opinała obfity biust i płaski brzuch. Dziewczyna pomachała Polakowi, a ten pokazowo zasalutował. Jeszcze tego samego wieczoru odwiedził Kristinę w jej małym mieszkaniu na pierwszym piętrze kamienicy. Wypili po piwku, Jacek opowiedział parę durnych dowcipów, a potem kochali się na podłodze. Plutonowy nie był nadmiernie finezyjny, nie dbał też specjalnie o doznania partnerki. Odkąd jego oddział zainstalował się w Brasov, Jacek miał już cztery kochanice. Wszystkie były młode, piękne i bardzo chętne, a on stanowił nie lada kąsek. Prócz umięśnionej klaty i sprawności sportowca, największą zaletą było to, że pochodził z Polski, a w obecnej sytuacji było to równie ważne, co sprawny penis. Każda z dziewcząt liczyła na to, że skusi polskiego żołnierza na poważny związek, który skończy się małżeństwem, najlepiej od razu z dzieckiem. Dzięki temu miałyby odgórnie przyznaną wizę na stały pobyt w bezpiecznym i bogatym kraju, jakim była Polska. A wiza do europejskiego kraju to prawdziwy skarb, co doceniali zwłaszcza ci, którzy pamiętali idylliczne czasy Unii Europejskiej. Niewielu już takich zostało.

Jednej z dziewczyn prawie się udało usidlić Jacka. Poznali się w klubie na brasovskim rynku. Miała na imię Ira, była dość niska, ale jej szerokie biodra, mocne łydki i wielkie oczy wywołały w Jacku falę niepohamowanego pożądania. Zrobili to szybko i niedbale, całe piętro słyszało ich krzyki. Potem spotykali się już na spokojnie. Za każdym razem było dobrze, ale kilka tygodni później okazało się, że dziewczyna zaszła w ciążę. Jacek nie chciał zaakceptować dziecka. Szpital wojsk sojusznicznych był na takie sytuacje przygotowany. Nie obyło się bez krzyków, protestów rodziców, ale koniec końców, Ira musiała poddać się zabiegowi, bo bez uznania dziecka przez biologicznego ojca, nie miała szans na emigrację. Zwłaszcza w czasie wojny. Musiała zadowolić się przelewem w dolarach i sfinansowaniem zabiegu przez plutonowego. Tymczasem Jacek poznał kolejną miłość swojego życia. Kristinie również nie przyznał się, że w Polsce czekała na niego żona i czteroletnia córka.

Po powrocie z ćwiczeń Siódemka zainstalowała się w hangarze. Właściwie był to wielki namiot, którego plastikowe ściany powodowały, że wewnątrz przypominało szklarnię. Nie dość, że często uruchamiane silniki BPW podgrzewały wewnątrz zbrojowni, to jeszcze wypełniały gęste powietrze odorem smarów. Mimo to, żołnierze byli w świetnych nastrojach. Gorąco im nie przeszkadzało. Tropikalny klimat wypełniały opowieści o pięknych, czarnowłosych dziewczynach z Rumunii. Pluton szykował się do akcji w lasach poniżej szczytu Postavaru. Ze zdjęć satelitarnych wynikało, że kryło się

tam od groma niebezpiecznej robotyki, która miała zostać zniszczona zmasowanym atakiem z powietrza. Niebo nad Postavaru roilo się od pachnących świeżą farbą dronów polskiej konstrukcji, a ministerstwo szukało okazji, by przetestować je w akcji. Oprócz efektu propagandowego, polskie dowództwo chciało przesunąć linię frontu dalej na południe, aby opuścić zdradliwe górskie tereny. Karpaty Południowe stanowiły barierę, której przekroczenie oznaczało otwarcie drogi do wyzwolenia Wołoszczyzny, a dalej Bukaresztu. Wszystkim na tym zależało, szczególnie polskiemu rządowi, który w swej retoryce chętnie nawiązywał do czasów II Wojny Światowej. Nawet prezydent Puławski, zwykle powściągliwy, teraz podgrzewał atmosferę przemówieniami, w których przypominał pomoc rumuńskiej ludności, jaką ta udzieliła polskim uchodźcom w dwudziestym wieku. Twierdził wszem i wobec, że teraz polskie wojska walczyły, aby spłacić zaciągnięty dług. Trzeba przyznać, że nastrój ten udzielił się nawet rumuńskim cywilom.

Władze w Bukareszcie obawiały się bombardowań, które w zeszłym roku dotknęły miasta środkowej Europy, dlatego kapitulacja armii rumuńskiej nastąpiła dość szybko. Siły natowskie nie zdążyły zareagować i gdyby nie twardy opór sił polskich i niemieckich na południowej granicy Węgier, wojna pewnie potoczyłaby się zupełnie inaczej. Ale opuszczenie Karpat marzyło się Polakom jeszcze z jednego powodu, dużo bardziej prozaicznego. Rumuńskie góry roily się od różnego rodzaju band, powstałych z wygłodniałych uchodźców, mołdawskich separatystów i wszelkiej innej maści islamskich ekstremistów. Ci ostatni byli największą zmorą polsko - niemieckiego związku taktycznego. Istniały uzasadnione podejrzenia, że wszystkie bandy wspierała zza linii frontu Koalicja Afrykańska, aby jak najdłużej powstrzymywać pochód wojsk natowskich na południe. Czy tak było naprawdę, tego oficjalnie nikt nie udowodnił.

Jacek siłował się z pokrywą zasobnika amunicji. Pudło nie chciało się domknąć, a pokrywa znacznie odstawała ponad boczną płytę osłony, przez co prawe ramię ocierało i rysowało pancerz. Plutonowy mógł zlecić naprawę swojego pancerza technikom, ale jeszcze nie zdarzyło mu się skorzystać z tej opcji. Uważał, że w ten sposób nawiązuje mentalną więź ze sprzętem. Pozostali żołnierze Siódemki również zajmowali się drobnymi naprawami, uzupełniali ekwipunek, palili papierosy i wspominali miłosne podboje z zeszłego tygodnia. Głośnie disco polo wypełniało hangar, więc żołnierze musieli krzyczeć do siebie przez radio. Jackowi letnie hity odpowiadały, choć nie lubił, kiedy chłopaki robili aż tak głośno. Zdecydowanie preferował hałas Urty, a najbardziej moment odpalenia. Uruchomienie silnika BPW przypominało charkot starego autobusu,

kłęby gazów chłodzących buchał z rur plecach, a dym gryzł w oczy. Na szczęście wnętrze pancerza zachowywało przyjemne osiemnaście stopni. No chyba, że w walce wysiadła klima. Wtedy trzeba się było modlić, żeby operator zdążył wyłączyć silnik, inaczej stawał się widoczny dla każdego czujnika termowizji jak na patelni. A wróg, mimo iż zacofany wobec NATO o przynajmniej dwie generacje, czujniki miał dość dobre, bo chińskie.

Siłując się z żelastwem, Jacek nie usłyszał wołania. Starszy szeregowy Tomasz „Wyrek” Wyrkowski, przyjaciel Jacka z czasów podstawówki, musiał rzucić w plutonowego ciężkim kluczem, żeby ten się odwrócił. Wyrek docisnął słuchawkę do ucha, przykrył dłonią mikrofon i wrzasnął przez radio, że na szefa czeka połączenie z Warszawą. Jacek rozpromienił się i opuścił hangar.

Sztab główny bazy „Vlad” znajdował się w zabytkowych budynkach starej baszty Tkaczy, najlepiej zachowanej średniowiecznej budowli, która stanowiła część historycznych murów miejskich. Budowla wyrastała ze zbocza Góry Tampa, a otaczały ją korty tenisowe dawnego ośrodka sportowego, obecnie przerobionego na lotnisko dla maszyn pionowego startu. Od strony kortów gładką ścianę baszty zdobiły mosiężne cyfry ułożone w daty: tysiąc czterysta dwadzieścia jeden do trzydzieści sześć. Jacek nigdy nie zapytał o ich znaczenie, ale sądził, że chodziło o lata wznoszenia budowli. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ poniżej zabytkowych liczb ktoś wymalował koślawe hasło „Teraz Polska”.

Na kortach wyrosły rzędy namiotów, wiat oraz plastikowych toalet. Roilo się tu od żołnierzy oraz personelu technicznego. Akcja, którą miała przeprowadzić „Siódemka”, była częścią większej operacji, nic więc dziwnego, że w bazie wrzało jak w ulu. Wozy bojowe ustawiały się w szeregu do opuszczenia bazy, piechota dokonywała ostatnich przeglądów, ustawiono nawet dodatkowe namioty dla operatorów bezzałogowców. Prawdopodobnie akcja już się rozpoczęła, gdyż kolejne helikoptery startowały, zabierając ze sobą drużyny komandosów. Inne lądowały, a z ich ładowni wyjeżdżały skrzynie pełne zaopatrzenia. Jacek miał nadzieję, że wszystko pójdzie jak trzeba i w grudniu wróci do domu. Akurat na swoje czterdzieste urodziny.

Jak na razie, wojna nie dała się Jackowi specjalnie we znaki. Nie było aż tak strasznie, jak się spodziewał. Nowoczesny sprzęt, drony, roboty, cała ta elektronika, wsparcie z powietrza i wszelkie inne cuda natowskiej maszyny wojennej dobrze chroniły żołnierzy. Odkąd pół roku temu w Brasov powstała baza „Vlad”, zginęło raptem trzech żołnierzy, a może z piętnastu zostało rannych. Mimo wszystko, im dłużej to

trwało, tym Jacek czuł się coraz mniej pewnie. Miał wrażenie, że wszystko szło zbyt łatwo i zaraz coś rypnie. W końcu, tłumaczył sobie plutonowy Zieliński, skoro w zeszłym roku udało im się zaskoczyć wszystkich i przypieprzyć w Warszawę, Berlin i kilka innych miast, a potem z marszu wziąć południową Europę, od Grecji aż po Węgry, z Włochami włącznie, to coś było na rzeczy. Skala tej kinetycznej wojny zaskoczyła wszystkich. Od początku wieku nikt nie widział takich mas piechoty, tylu czołgów i samolotów. To już nie było tylko wysadzanie rafinerii sąsiadów i strzelaniny na granicy w sile plutonu albo co najwyżej kompanii. Tym razem z południa maszerowały całe dywizje, zostawiając za sobą spalone kikuty miast. Jak się później okazało, o to właśnie chodziło. Oraz o złodziejstwo. Wielkie, zachłanne, nieograniczone złodziejstwo.

W namiocie łączności na plutonowego czekał terminal. Techniczni odkodowali połączenie satelitarne i Jacek na ekranie monitora ujrzał żonę Kasię, a obok śliczną buzię czteroletniej córki, Zosi. Dziewczynka pokazała tacie nową lalkę i opowiedziała, jak w przedszkolu ksiądz pochwalił ją za ładny rysunek Jezusa. Jacek nie przepadał za nadmierną religijnością, jaką jego żona wprowadzała, ale nie miał pomysłu, jak to zmienić. Zwłaszcza, gdy on był na wojnie, a córka w Warszawie. W tej chwili nie przejmował się tym zbytnio. Cieszył go widok uśmiechniętej córki. Zosia przez chwilę opowiadała o swoich przygodach, aż w końcu Kasi udało się dojść do słowa.

— Marcin, słuchaj — zagadnęła, a wyglądała na zmartwioną. — W sieci trąbią o wielkiej operacji. Ty też wychodzisz w pole?

— Tak — odparł Jacek — ale wyluzuj, nic mi nie będzie. Idziemy jako straż boczna — skłamał. — Będę z dala od największej zadymy.

Katarzyna obgryzała paznokciec kciuka, nie patrząc Jackowi w oczy.

— Jak zobaczyłam w streamie, co się szykuje, to wiesz, obczaiłam, że będzie grubo. Dzisiaj w kościele przyszło mi do głowy, że już z tej Rumunii nie wrócisz.

— Kaśka, nie przejmuj się — pocieszył Jacek. — Daję ci słowo, że odezwę się niedługo. A teraz daj mi tu Zoche, niech se jeszcze na nią luknę.

Następnego dnia rano, Jacek szykował się do wejścia w pancierz. W hangarze dudnił rytm letniego hitu „Mam ją na tablecie”. Techniczni podstawiali pod BPW drabinki, tymczasem plutonowy zebrał swoich żołnierzy. Dwóch z nich było Rumunami, którzy dołączyli do Siódemki w ramach sojuszniczego wzmocnienia jednostek liniowych. Mario i Romeo, mimo pedalskich imion, okazali się spoko.

— Panowie — przemówił Jacek. — Dzisiaj bez jaj, będzie rozpierdol. Misję mamy obcykaną, plan wykuty na blachę, wszystko wiemy. Ale ja poproszę wszystkich z powrotem u „Vlada”, więc chodzimy na paluszkach, jasne? Nie wariować, nawet jak się zadyma zrobi. Trzymać się planu, a będzie dobrze. Jasne? No, dobra, panowie. Polska i Rumunia, co?

— Pizda! Pizda! — odkrzyknęli żołnierze.

Okrzyk bojowy Siódemki zaproponowali koledzy Rumuni. Obaj świetnie mówili po polsku i już pierwszego dnia służby uzmysłowili Polakom, że w obu językach słowo to oznacza dokładnie to samo.

2.

Bojowy Pancerz Wspomagany Urta-6 to udana konstrukcja hinduskiego projektanta, opatentowana w Korei, produkowana w chińskich fabrykach przez japońsko-hinduską spółkę. Kontrakt na kilkaset sztuk Urty podpisał trzy lata wcześniej Prezydent Puławski. Zakup udał się wyjątkowo, offset został zrealizowany według planu i wszyscy byli zadowoleni. Jakiś rok temu wypłynęły szczątkowe informacje o machlojkach związanych z przetargiem, zaangażowaniu polityków najwyższego szczebla i korporacyjnych koneksjach agentów polskiego wywiadu. Nikt jednak nie doszedł prawdy, ponieważ bombardowanie Warszawy i wybuch wojny zupełnie zmieniły optykę problemu. Niezależnie od legalności rozstrzygnięcia przetargu, Urta okazała się obiektywnie udanym zakupem, który żołnierze bardzo sobie chwalili. Największą niedogodnością Urty był fakt, że jej system operacyjny stwarzał problemy podczas integracji z nатовskimi sieciami i zdarzało się, że pojedynczą jednostkę trzeba było odpiąć od systemu. Na to akurat nikt specjalnie nie narzekał. Polscy programiści zapewnili każdej sztuce pancerza możliwość indywidualnego połączenia z jednostkami z własnego plutonu, więc odłączenie od sztabu nie eliminowało jednostki z walki. Najważniejsze było to, że Urty rzadziej się psuły, wykazały większą odporność na kurz i wilgoć, a przede wszystkim miały więcej miejsca na zasobniki amunicyjne. Niektórzy krytycy złośliwie zwracali uwagę, że polski żołnierz ubrany w Urtę przypominał niezgrabnego karalucha. Jacek uważał, że bardziej modliszkę, zwłaszcza w momencie wysunięcia bocznych wysięgników z granatnikami.

Na cześć córeczki plutonowy nazwał swój pancerz „Zosia”. Kumpel z drugiego plutonu namalował na tytanowym płacie piersiowym portret dziewczynki z wycią-

gniętą piąstką. Zdarzyła się nawet sytuacja, że ktoś z niemieckiego kontyngentu namśmiewał się z malunku i zniewieściałego imienia dla pancerza. Było to nierozważne posunięcie.

Bór na wschodnim zboczu góry Postavaru wydawał się drzemać w półmroku. Stare drzewa pięły się wysoko w górę, niemal idealnie zasłaniając niebo. Miały suche pnie, a korę mocno spękana. Ptaki schowały się wśród cienkich jak papier, pożółkłych liści, które resztką sił trzymały się łamliwych gałęzi. Robactwo zagrzebało się w najgłębszych zakamarkach podporowych korzeni. Na ziemi urosła warstwa uschniętego listowia i zerwanych przez wichurę badyli. Mimo letniego skwaru, Jacek doceniał piękno okolicy. Z przyjemnością wdychał czyste, górskie powietrze. Słodkawy zapach rumuńskiego lasu wydawał mu się lepszy niż duchota polskich, przeładowanych turystami gór. Pomyślał, że jego córce bardzo by się tutaj spodobało.

Plutonowy trzymał swój oddział w bezruchu kilkaset metrów powyżej drogi E60. Żołnierze rozstawili się w odległości pięćdziesięciu metrów od siebie. Skanery jednostki pracowały analizując okolicę. Gogle powoli osunęły się na oczy i Jacek zobaczył wszystko w lekkim oddaleniu, dzięki czemu poszerzyło się jego pole widzenia. Czujniki nie wykazały wrogiej aktywności w promieniu kilku kilometrów. Po krótkiej wymianie informacji z serwerami sztabu, Plutonowy wydał rozkaz wymarszu. Silniki pancerzy zaszumiały podczas rozruchu akumulatorów, serwomotory zasyczały, aż wreszcie las wypełnił odgłos ciężkiego stąpania. Siódemka miała do przejścia pięć kilometrów w stronę południową. Oddział poruszał się powoli, z pewną wyniosłością, jakby chciał całemu światu oznajmić, że niczego się nie bał i kontrolował sytuację. W rzeczywistości Siódemka miała pozorować rozstawienie, jak podczas rutynowego patrolu i w ten sposób wywabić przeciwnika.

Pierwszy taki rekonesans wysłano pół roku temu, niedługo po zainstalowaniu bazy „Vlad”. Patrole piechoty wspomaganej były jedną z koncepcji sztabu głównego na zaznaczenie swojej obecności i utrzymanie kontroli na określonym terenie. Zwiadów takich wykonano w sumie ponad dwieście, zawsze w sile plutonu. Niektóre z nich okazały się smakowitym kąskiem dla wrogich robotów oraz partyzantów. Jednak tym razem scenariusz miał wyglądać zupełnie inaczej.

Siódemka wyłoniła się z lasu u stóp wzniesienia, które przez kilkaset metrów prowadziło gładko pod górę, by zmienić się potem w strome podejście pod szczyt Postavaru. Szeroki, bezleśny pas ziemi dawniej służył za stok narciarski, wzdłuż którego prowadziła kolejna górська. Potężne, metalowe wsporniki wyrastały z ziemi co kilkanaście

metrów, jednak liny wyciągu dawno temu zardzewiały i spadły na ziemię. Można je było gdzieś znaleźć zarośniętą trawą, bądź zawiniętą wokół spoczywających na ziemi, beczkowatych wagoników. Właśnie za jednym z takich wagoników czujniki Jacka wykryły sygnaturę robota. Pluton zatrzymał się i ustawił w obronnej formacji. Oddział, ostrzeżony przez elektroniczny skanিং, spodziewał się licznej piechoty ze wsparciem robotów. Skanery pokazywały wzmożoną aktywność po prawej stronie przesieki, gdzie według mapy znajdowały się ukryte w lesie jaskinie. Jacek zawczasu wezwał wsparcie z powietrza. Jeszcze nic się nie wydarzyło, ale plutonowy Zieliński poczuł, że kilka najeżonych rakietami dronów nad jego oddziałem nikomu nie zaszkodzi. Niech sobie krążą jak sępy.

Plutonowy przełączył się na widok satelitarny. Na mapie zobaczył mnóstwo czerwonych kwadratów bez sygnatury, które kotłowały się wokół jego oddziału. Wszystkie trzymały się poza obszarem kontaktu wzrokowego. Obiekty zbliżały się z różnymi prędkościami, ale nie ulegało wątpliwości, że „Siódemka” została otoczona. Oddział wszedł w worek utkany z uzbrojonych i niebezpiecznych jednostek. Przed chwilą ten worek się zamknął. Kilkaset metrów poniżej wzniesienia, w sąsiedztwie starego prawosławnego kościoła, punkty o różnych sygnaturach ciepła i masy zetknęły się, by po chwili ruszyć pod górę, prosto na pluton Jacka.

Żołnierze utrzymali ciszę radiową, ale wszyscy odwracali głowy w kierunku dowódcy. Plutonowy zachował zimną krew. Ze spokojem w głosie wydał serię poleceń. Siódemka utrzymała rozproszenie, ale zwróciła się w kierunku południowo-wschodnim, sugerując w ten sposób zamiar rozpoczęcia odwrotu i przebijania się przez nieprzyjacielski kordon w punkcie styku obok zabytkowej świątyni. Na czoło formacji wysunął się Wyrek. Jego pancerz służył jako operator działa ppanc. Stalowa rura umocowana do wysięgnika na plecach maszyny z metalicznym zgrzytem zmieniła pozycję na poziomą, tuż ponad ramieniem operatora. Po prawej stronie lasu, kilkadziesiąt metrów powyżej polskiego oddziału, wychyliło się kilka pokracznych, czteronożnych konstrukcji. Ich korpusy trochę przypominały parowozy i pojedynczo nie stanowiły większego zagrożenia, zwłaszcza dla jednostki piechoty wspomaganej. Były to stare modele robotów krocących, na dodatek niezbyt udane. Niestety obraz satelity pokazał, że w lesie zebrało się ich naprawdę dużo, o wiele więcej, niż Jacek szacował. Nosiły też inne niż zwykle uzbrojenie, miały więcej broni maszynowej, więcej granatników i wyrzutni rakiet. Wydawały się nowe, a poruszały się zwinnie, o wiele sprawniej niż te, które spotykali dotychczas.

Jacek dłużej się nie zastanawiał. Przed jego twarzą zamknęła się pokrywa pancerza, a on krzyknął:

— Zwrot!

Siódemka od miesiąca ćwiczyła ten manewr i wykonała go perfekcyjnie. Wszyscy operatorzy wykonali zwrot o niecałe sto osiemdziesiąt stopni, jednocześnie uwalniając wysięgniki z granatnikami. Wszyscy oprócz Wyrka, który otworzył ogień w kierunku kościoła. Zaminowana z powietrza polana wokół świątyni eksplodowała, a przeciwpancerne pociski wypchnięte z działa siłą potężnych elektromagnesów, w ułamku sekundy dosięgły swoich celów. W tej samej chwili drony uwolniły rozgrzane do czerwoności pociski, które z niesamowitą prędkością i bezlitosną precyzją zmieliły roboty na złom. Spragniony wody las natychmiast stanął w ogniu. Płomienie wystrzeliły w niebo jak puszczony z jaskini, wygłodniały smok, który chciałby jednym haustem połknąć cały świat. Zgromadzona w zasobnikach robotów amunicja prochowa dodała całości efektów specjalnych w postaci snopów iskier i strzelających w niebo fajerwerków.

Siódemka rozpoczęła natarcie pod górę. Polacy nie otworzyli jeszcze ognia, całą robotę odwalaly za nich drony. Rakiety rozsadzały ziemię wokół ścieżki, przy okazji ją poszerzając, a serie z broni maszynowej wyłuskiwały ukrytych lepiej niż roboty partyzantów. Pociski przecinały powietrze ze świstem, orały skały, ziemię i drzewa jak stępiona piła tarczowa. Jacek jako pierwszy dotarł do ścieżki. Odpalił dwa granaty i skierował je za pień drzewa, aby upewnić się, że nikt się tam nie krył. Wrzask w momencie wybuchu potwierdził jego obawy. Żołnierz ruszył dalej i zauważył, że zza wielkiego kamienia wyskoczyło trzech partyzantów. Z przerażeniem w oczach skierowali się w dół zbocza. Plutonowy skosił ich krótką serią.

Pożar szybko rozniósł się po zboczu i piał się coraz wyżej, w kierunku boru, porastającego gęstą czapą górę Postavaru. Siódemka parła naprzód, a jej celem były skryte w lesie jaskinie. Na wzniesieniu lądowały helikoptery, z których wysypywały się kolejne plutony piechoty. Żołnierze zabezpieczali tyły oraz poszerzali pochód wszcz, dzięki czemu polskie natarcie nie przypominało szpilki tylko szeroki walec. Jacek otrzymał komunikat ze sztabu, że niemieckie natarcie oskrzydlaające nadchodziło od strony południowej. Niemcy mieli wyjść na prawą flankę Polaków za sześć minut i zamknąć partyzantów w okrążeniu.

Na razie idzie dobrze, pomyślał Jacek. Zmniejszył odległość między operatorami, ponieważ droga zrobiła się węższa i bardziej kamienista. Po kolejnych pięćdziesięciu

metrach o blachy pancerza zabrzęczały kule. Były to dwudziestotrzynimietrowe pociski przeciwlotnicze, które nie miały najmniejszej szansy przebić grafenowo-tytanowego pancerza Urty. Jacek nie zlekceważył ognia z flanki, który mógł zagrozić nadciągającej piechocie. Komputer obliczył trajektorię lotu pocisków, a skanery wysledziły skryty w kępie drzew samodzielny zestaw przeciwlotniczy ZSU-23, potocznie zwany Szyłką. Był to radziecki projekt z połowy dwudziestego wieku, przez dziesiątki lat używany w armiach całego świata, w tym polskiej. I takie właśnie było w większości uzbrojenie, jakie Polacy spotykali w Rumunii. Żaden problem. Jacek odpalił w kierunku Szyłki dwa granaty, po czym rozkazał Wyrkowi dokończyć sprawę. Chwilę później zabytkowe działo zamieniło się w kupę dymiącego złomu. Tymczasem oddział plutonowego Zielińskiego zbliżał się do wylotu pierwszej jaskini. Siódemka wykonała zwrot w lewo, aby otoczyć zabarykadowano workami z piaskiem wejście do pieczary. Kilka zawiniętych w arafatki głów oznaczało, że bez walki się nie obejdzie. Sprawę załatwił starszy szeregowy „Bór” Borowiecki. Bór wysunął się na czoło kolumny i otworzył zawór paliwowego miotacza ognia. Na zwieńczeniu pancerza prawej ręki pojawił się złowrogi płomyk. Partyzanci zrobili wielkie oczy i wzięli nogi za pas, krzycząc ostrzeżenia dla obsady jaskini. Bór nie miał zamiaru odpuścić. Soczyście syknął gazem, który momentalnie rozgrzał do białości stalową barierę, a sypki piasek zamienił w brudne szkło. Wewnątrz rozległy się wrzaski, świadczące o skuteczności miotacza. Kapral Paździec wdrapał się na szczyt jaskini, aby ostrzelać wystające ponad ziemię lufciki wentylacyjne. Zrobił to w samą porę, gdyż kilku partyzantów wpadło na pomysł wyrwania się z zimnego tunelu przez sufit. Seria z beryla rozszarpała uciekinierów na strzępy, po czym kapral załadował do każdego lufcika po jednym granacie. Trzy kolejne Urty oczyściły wejście do następnej jaskini. Jacek zobaczył na skanerze jednostki niemieckie, które wkroczyły na zbocze i zamknęły okrażenie.

— Wejście do gniazda zabezpieczone — oznajmił plutonowy Zieliński. Był to sygnał dla piechoty, aby rozpocząć penetrację tuneli. Zanim pierwsi żołnierze wykonali rozkaz, Jacek odebrał komunikat podpułkownika Jabłonowskiego.

— Pluton BPW, przerwać akcję, zwinąć formację i wycofać się do punktu zero.

Operatorzy Jacka zajęci zabezpieczaniem terenu, nie zwrócili na komunikat uwagi, ale plutonowy rozkaz usłyszał, tylko nie był pewien, czy dobrze go zrozumiał.

— Jedynka, powtórz. Mamy opuścić pozycje i odsłonić skrzydło?

— Zieliński, nie dyskutuj — warknął Jabłonowski. — Nic nie odsłaniacie, kończymy imprezę, Niemcy też. — Jacek zobaczył, że oddziały piechoty, zamiast szykować się do ataku na kryjówkę partyzantów, powoli się cofały, a odgłosy walki zamierały.

— Jak to? — zdziwił się Wyrek. — Zwijamy majdan?

— Pluton, cisza radiowa — polecił Zieliński. — Panie podpułkowniku, ale my tu już ich mamy na patelni. Mrówki miały wleźć do gniazda i zeżreć Husejnów. Co to za idiotyzm?

— Polecenie prosto ze sztabu. Przystąpić do wykonania rozkazu. — Podpułkownik zamknął linię i zakończył dyskusję.

Jacek drżał. Akcja szła zgodnie z planem, Siódemka wykonała zadanie z chirurgiczną precyzją, a teraz wszystko miało pójść na marne. Operatorzy wpatrywali się w plutonowego i czekali na decyzję.

— Siódmy pluton — zakomunikował Jacek — odwrót.

3.

„Vlad” się wściekł. Tak można było określić nastrój w bazie, gdyby popatrzeć na twarze powracających z misji żołnierzy. Byli brudni, zmęczeni i spoceni, ale nie mieli ani jednego rannego. Straty partyzantów szacowano na około trzystu. Zniszczono kilkadziesiąt wrogich maszyn, cele strategiczne osiągnięto w wyznaczonym czasie, penetrację tuneli przygotowano perfekcyjnie. Mimo tego misję oficjalnie określono jako niepowodzenie.

Plutonowy Zieliński wpadł do bazy z gorącą awanturą. Był perfekcjonistą. Wyciskał ze swoich ludzi siódme poty, byle tylko wykonać każde zadanie zgodnie z harmonogramem. Nigdy nie opuścił żadnego punktu, każdy etap ćwiczył do upadłego. Nie bez przyczyny żołnierzy z Siódemki uważano za najlepszych. Misja, którą rozpoczęli dzisiaj, miała być ukoronowaniem ich dotychczasowej kariery. Miała być najtrudniejszą akcją w całej kampanii rumuńskiej, a jednocześnie najważniejszą. Jacek czuł się spoliczkowany, na jego honorze urosła niezmywalna plama. Nic nie pomogły tłumaczenia, że to decyzja sztabu, że nie było w tym winy dowództwa bazy, ani tym bardziej jego. Odwrót spod Postavaru wziął do siebie bardziej, niż zdradę małżeńską.

Wieczorem, gdy wszyscy ochłonęli po bitwie, w biurze batalionu odbyła się odprawa, na której plutonowy Zieliński dowiedział się powodów odwołania misji. Sprawa okazała się o wiele poważniejsza, niż ktokolwiek mógł podejrzewać. Rozkaz odwrotu dotyczył nie tylko ataku na Postavaru, ani nawet bazy „Vlad”. Europejskie Dowództwo

NATO zarządziło przerwanie operacji „Strzała” i zwinięcie całego frontu, aż do południowej granicy Czech i Niemiec. Wszystko w związku z ofensywą, jaką nieprzyjaciel wyprowadził z terenu północnych Włoch i przełamał natowską barierę w Austrii. Natarcie było tak błyskawiczne, precyzyjne i zmasowane, że natowskie wojska Frontu Południowo Zachodniego musiały ustąpić. Niepotwierdzone doniesienia mówiły o ogromnych stratach wśród ludności cywilnej, czystkach na tle religijnym oraz masowym rozstrzeliwaniu jeńców. W tej sytuacji europejskie dowództwo przewencyjnie zwinęło sztandary i wyniosło się do Londynu. Grupa Planowania Nuklearnego obudziła się z trwającej kilkadziesiąt lat drzemki na wieść o ciągnących austriackimi drogami wyrzutniach pocisków taktycznych z głowicami jądrowymi. Wrażenie ogólnego szoku i niedowierzania pogłębiła kapitulacja Szwajcarii, której po prostu nie miał kto bronić, a napastnik miał gdzieś jej neutralność.

— Walczymy z wrogiem — odczytał z kartki Jabłonowski — który nie uznaje żadnej świętości, łamie wszelkie traktaty i obyczaje. Gdyby ktokolwiek miał jeszcze jakieś wątpliwości, jest to wojna dwóch wrogich cywilizacji.

Na sali zapanowała grobowa cisza. Dowódca batalionu skończył odczyt komunikatu sztabu generalnego. Wszyscy kręcili głowami z niedowierzaniem. Jacek przypomniał sobie, jak pół roku temu Europa ochłonęła po nalotach na Polskę i Niemcy, dzielnie zniosła zajęcie południowych rejonów kontynentu, po czym zmobilizowała się i powstrzymała pochód barbarzyńskich armii. Klimat polityczny zmienił się momentalnie. W niektórych stolicach podniesiono nawet sprawę ponownego zjednoczenia Europy pod sztandarami Unii, którą na początku dwudziestego pierwszego wieku zmyła nacjonalistyczna fala.

Wszyscy spodziewali się lada dzień wielkiej kontrofensywy, która miała wypchnąć najeźdźcę do Afryki i Azji Mniejszej. Europejscy członkowie NATO z pychą odrzucali waszyngtońskie propozycje użycia amerykańskich jednostek, stacjonujących w Europie. Wszystkim dzwoniło w uszach przemówienie kanclerza Niemiec, który wszem i wobec ogłosił, że trzech europejskich tytanów, Polska, Niemcy i Francja, tym razem poradzą sobie sami, stając ramię w ramię wobec agresji na ich domy. Zemsta za zbombardowany Berlin i Warszawę miała być szybka i bezlitosna. Wartości demokratyczne pewnie już by zatriumfowały, gdyby nagle nie okazało się, że tytani byli ospali, tłuści i zapatrzeni w siebie.

Dalsza część odprawy dotyczyła logistyki. Likwidację bazy „Vlad” rozłożono na trzy dni. Potem w Brasov po wojskach NATO miały zostać jedynie dobre wspomnienia i całe przedszkole nieślubnych dzieci.

Plutonowy streścił swoim ludziom przebieg odprawy w kilku zdaniach i nie wdał się w szczegóły. Humor miał parszywy. Odwrót do Polski oznaczał zmianę charakteru wojny. Od tej pory Jacek miał występować po stronie obrońców, a nie wyzwolicieli. Świadomość ta bardzo go dręczyła. Spełniał się jako żołnierz, spodziewał się zasłużonego awansu, marzył o objęciu dowództwem całej kompanii BPW. Wojna była jego żywiołem, widział w sobie prawdziwego wojownika. Dodatkowo rumuńskie dziewczyny zawałdnęły jego sercem, a w Polsce czekała na niego żona, za którą wcale nie tęsknił. Przepustki będzie musiał spędzać na wizytach w domu. Krótko mówiąc, w Rumunii czuł się w domu bardziej, niż gdziekolwiek i kiedykolwiek indziej.

Dwa dni później nastrój trochę mu się polepszył. Pod wieczór został wezwany do podpułkownika Jabłonowskiego. Jacek lubił dowódcę batalionu. Był to człowiek bezpośredni i bystry. Nie lubił natomiast jego biura. Czuł się tam jak uczeń, który musiał tłumaczyć się ze złych uczynków. Nad biurkiem oficera wisiał reprint obrazu Hieronima Boscha „Sąd Ostateczny”. Brunatno pomarańczowa barwa, nadzy ludzie przywiązani do pali, diabły, które szczydziły z marnych, człowieczych dusz, to wszystko budowało u Jacka niepewność i poczucie zagrożenia. Być może o to właśnie chodziło? Kiedyś Jacek zapytał Jabłonowskiego, po co trzymał tego bohoma w biurze. Oficer tylko się uśmiechnął i powiedział „żebyśmy nie zapomnieli, co się tu dzieje”.

— Wszystko gotowe — zameldował Zieliński. — Zbroje w hangarze, na rano mamy wyznaczone ciężarówki, które zabiorą nas na lotnisko.

— Odwołałem ten transport — zakomunikował Jabłonowski. — Mam dla ciebie zadanie.

Plutonowy Zieliński otworzył usta ze zdziwienia. Zadanie specjalne byłoby świetnym ukoronowaniem pobytu w Rumunii. Dobra akcja na koniec zmyłaby plamę, jaką był odwrót spod Postavaru.

Jabłonowski wyświetlił nad blatem stołu mapę.

— Weźmiesz swój pluton i ruszycie do Poiany — oznajmił dowódca. — W jednym z hoteli czeka rumuński spec od biochemii, któremu sztab chce zafundować wakacje w Warszawie. Siedział tam pod ochroną borowików, ale się panowie tajniacy spękali nadchodzącego frontu i wymeldowali przedwcześnie. Naczelnego krew zalała, dlatego do-

stałem polecenie wysłania eskorty. Ten gość to strasznie ważna persona, sam prezydent zaordynował wykorzystanie wszelkich środków, żeby gościa w jednym kawałku przeflancować do nas. Ruszacie w drogę o świcie.

— Ok, ale operacyjnie to jest bez sensu. To zadanie bardziej dla Gromu, nie dla blaszaków.

— Wszystkie mrówki zwinęły już bagaże i pofrunęły do Czech. Zostało mi tylko zaopatrzenie, pelotki i BPW.

— Oczywiście. Spodziewamy się oporu?

— Na razie droga do Poiany jest czysta, okolica też, ale lada moment będzie tam jak w ulu. Dowództwo nad misją obejmiesz osobiście. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, czeka cię błogosławieństwo naczelnego i dowództwo kompanii.

4.

Strumień uchodźców, który zablokował drogę do Poiany, przypominał Jackowi sceny z filmów wojennych. Setki ludzi uciekało z turystycznego kurortu, który lada chwila miał wpaść w ręce krwiożerczych partyzantów. Polscy żołnierze zdawali sobie sprawę, że sytuacja jest o wiele groźniejsza, a islamscy bojownicy byli tylko forpoczta tego, co zbliżało się od południa. Wstępne rozpoznanie satelitarne zarejestrowało kolumny regularnej armii, chronionej z powietrza myśliwcami i dronami, posuwającej się drogą numer jeden od Ploeshti. Czoło kolumny miało dotrzeć do Brasov pod wieczór, więc zajęcie Poiany mogło potrwać godzinę lub dwie dłużej. Lotnictwo NATO postawiło zaporę na południe od Karpat, dopóki ewakuacja bazy nie dobiegnie końca. Walki w powietrzu zaczęły się jeszcze w nocy i trwały nieprzerwanie aż do teraz. Raz na jakiś czas klucz natowskich myśliwców przelatywał nad głowami uchodźców, dając im złudne poczucie bezpieczeństwa. O ewakuacji ludności cywilnej póki co nie było mowy. Wojskowi martwili się, aby ta wojna przypadkiem nie okazała się czymś poważniejszym, niż miała być.

Pluton Jacka Zielińskiego poruszał się bardzo powoli. Droga 1E z Brasov do Poiany sama w sobie stanowiła utrudnienie. Była wąska, wiła się jak spaghetti, na dośadek prowadziła pod górę, czasem bardzo stromo. W normalnych warunkach, pieszo można było pokonać całą trasę w trzy godziny, autem w pół. Mozolną wędrówkę pod górę osładzały piękne widoki na zielone wzgórza Spinarea Lunga. Teraz jednak tłum uciekinierów nie zwracał uwagi na nic. Okoliczni mieszkańcy ciągnęli w dół, do Brasov, w nadziei znalezienia ratunku w bazie „Vlad”.

Słońce piekło bezlitośnie, jakby chciało usmażyć skłębionych na szosie ludzi. Mimo skwaru i narastającego napięcia, kroczące pod prąd Urty z polskimi oznaczeniami witano entuzjastycznie. Ludzie chętnie ustępowali drogi polskim maszynom, pozdrawiali Polaków, dzielili się wodą. W podzięcie, żołnierze Siódemki kilkakrotnie pomogli przestawić na pobocze unieruchomione auta, by choć trochę odblokować korek. Starszy szeregowy Wyrkowski zatrzymał się na dłużej, aby pomóc samotnej Rumunce pozbierać rozsypane na szosie ubrania. Trójka jej nastoletnich córek wpatrywała się w Polaka jak w obraz, wszystkie zdradzały oznaki poważnego zadurzenia.

— Wyrek — ponaglił przez radio plutonowy Zieliński — zostaw te dziewczyny. Nie mamy czasu. — Szeregowy usłuchał rozkazu, ale zanim dołączył do plutonu, zdążył zebrać od każdej z dziewczyn, w tym od matki, soczystego buziaka.

Było późne popołudnie, gdy Siódemka dotarła do Poiany. Żołnierze stanęli na środku skrzyżowania w formacji obronnej. Dookoła malował się bajkowy widok. Porosnięte lasem łańcuchy górskie otaczały wyludnione miasteczko, tworząc z niego enklawę ciszy i spokoju. Gdyby nie wojna, można by pomyśleć, że czas zrobił tu sobie przerwę. Otaczające skrzyżowanie pensjonaty i hotele, skąpane w palącym słońcu, wyglądały jak starannie zaprojektowane kamienice rzemieślników z gry komputerowej.

Jacek rozesłał swoim żołnierzom koordynaty. Ich celem był luksusowy hotel Aurelius. Siódemka podzieliła się na dwie drużyny. Pięć maszyn, z Jackiem na czele, ruszyło główną aleją kurortu, aby dotrzeć do hotelu od frontu. Pozostałe cztery miały szerokim łukiem obejść park i zabezpieczyć tyły hotelu. Droga zajęła im około pół godziny. Operatorzy poruszali się powoli, bacznie obserwując każdy krzak, garaż czy budkę z pamiątkami. Obie drużyny dotarły do hotelu mniej więcej w tym samym czasie.

Hotel Aurelius dumnie prezentował swoich pięć gwiazdek i rzeczywiście robił wrażenie. Na pierwszy plan wysuwał się bogato zdobiony front i porzucone przed wejściem porsche, zza płotu wylaniał się komfortowy basen ze zjeżdżalnią i finezyjnymi natryskami.

— Ja i Wyrek rozkuwamy się — zakomunikował Zieliński. — Reszta obstawić budynek, oczy w dupie.

Fala gorącego powietrza ogarnęła Jacka, gdy otworzył przednią płytę pancerza. W porównaniu z klimatyzowanym wnętrzem BPW, temperatura na zewnątrz przypominała piekarnik. Uzbrojony w Beryla ze składaną kolbą, Wyrek stanął obok dowódcy.

— Panie plutonowy — oświadczył — melduję, że klejnoty mi się zaraz usmażą.

— Mi też — odburknął Jacek. Wyjął ze schowka Beryla, założył hełm i z podniesioną bronią ruszył do wejścia.

— Za mną.

Kryjąc się wzajemnie, operatorzy ostrożnie wkroczyli na hol. Wnętrze wyglądało na jeszcze bogatsze niż front. Secesyjny styl ociekał połączanymi elementami wystroju, miękkie dywany tłumili każdy hałas. Olejne reprodukcje Klimta, Wyspiańskiego i Muchy dodawały całości powagi i klasy. Od razu dało się zauważyć, że obsługa i goście opuścili hotel w pośpiechu. Porozrzucane walizki, rozsypane ubrania, walające się na blacie recepcji dokumenty świadczyły o tym dobitnie.

— Na piętro.

Żołnierze skierowali się do schodów i ruszyli ku górze. Bałagan panował również na wyższych kondygnacjach. Gdy weszli na hol drugiego piętra, zobaczyli pokojówkę, która przetrząsała porzucone walizki. Na widok Polaków wrzasnęła i podniosła ręce do góry.

— Calma, femeie — uspokoił Jacek. Rumuński znał na tyle dobrze, aby dowiedzieć się tego, co chciał. Pokojówka powiedziała, że w hotelu został jeden gość, który nie przyłączył się do pochodu uciekinierów. Twierdził, że czeka na wojsko, które ma go odeskortować.

— Iesi de aici — rozkazał Zieliński. Pokojówka usłuchała i po chwili już jej nie było. Żołnierze podeszli pod wskazany pokój. Wyrek silnym kopniakiem wyważył drzwi, a Jacek wpadł z krzykiem do środka.

— Ręce do góry! Mainile sus!

W bogato wyposażonym apartamencie znajdowała się tylko jedna osoba. Młody, może dwudziestoletni mężczyzna siedział w fotelu i przeglądał gazetę. W pokoju walało się trochę ubrań, sporo sprzętu wspinaczkowego, zapas wody i zapuszkowane racje żywnościowe. Plutonowy przeniósł spojrzenie na chłopaka, który podniósł ręce do góry i powoli wstał. Miał długie, czarne włosy, nosił modne okulary w grubych oprawkach, był wysoki i mocno opalony. Na pierwszy rzut oka wydawał się być nieporadnym i strachliwym nerdem. Jacek odniósł wrażenie, że była to tylko gra. Oceniał, że ten człowiek to fałszywy i dwulicowy typ, na dodatek niebezpieczny. Jak na cherlaka miał zbyt sprężyste ruchy i mimo szczupłej budowy ciała, jego mięśnie wyraźnie rysowały się pod przepoconą koszulką.

— Tu esti Mihai Voinea? — spytał plutonowy Zieliński.

— Polacy? — zdziwił się chłopak.

— Mihai Voinea? — powtórzył Polak.

— Tak, to ja.

— Zwijamy się — rozkazał Zieliński i kopnął w kierunku chłopaka plecak. — Parę sztuk bielizny, notatki, butelka wody. Ruchy.

Mihai Voinea przestraszył się nie na żarty, ale polecenie wykonał. Zaczął pakować plecak, nie spuszczać Polaków z oczu.

— Co chcecie ze mną zrobić?

— Nie bój się — odparł plutonowy. — Odprowadzimy cię do Brasov, a stamtąd polecisz do Warszawy. Polski prezydent zaprasza, na koszt podatników.

— Ja idę z przodu — polecił plutonowy — Mihai za mną, Wyrek zamykasz. Jeśli coś się zacznie dziać — poinstruował Rumuna — nie panikuj, tylko chowaj się za mną. Pod żadnym pozorem nie wolno ci się zatrzymać.

Na zewnątrz upał nieco zelżał. Wieczór oznaczał zbliżające się niebezpieczeństwo, więc Jacek ponaglał. Siódemka zebrała się w pełnym składzie przed wejściem do hotelu.

— Panowie, to jest Mihai Voinea, nasz sojusznik — przedstawił Rumuna Zieliński. — Jego życie jest absolutnie priorytetowe. Wiecie, co mam na myśli. — Żołnierze przytaknęli z poważnymi minami.

— Szeregowy Romeo Triescu, rozkuwaj się, zakładaj gogle i bierzesz zbroję na zdalne sterowanie. W środku schowa się nasz podopieczny. Romeo i Mihai idą w środku, my naokoło, broń w gotowości.

Jacek i Wyrek wsiedli do pancerzy. Stukot uruchamianych silników Urty rozniósł się echem po miasteczku.

5.

Droga 1E nadal tętniła ludźmi. Siódemka szybko dogoniła ludzką cizbę i w zwartej formacji przebijając się przez tłum. Tym razem nie obyło się bez nieprzyjemności. Plutonowy Zieliński pospieszał swój oddział, więc Polacy byli zmuszeni rozganiać kłębiących się na szosie uchodźców. Rumuni rozstępowali się z ociąganiem, ponieważ przejście maszyn utrudniało ich pochód. Kilka osób się przewróciło, mężczyźni klęli i wygrażali pięściami. Niewiele to dało, bo zwarty szyk BPW parł naprzód jak taran. Zamknięty w kabinie operatora plutonowy obserwował na bocznym ekranie transmisję z pancerza szeregowego Triescu, w której siedział zamknięty Mihai Voinea. Rumuński

geniusz wyglądał na zaniepokojonego i nerwowo się rozglądał. Nie dotykał panelu kontrolnego ani drążków sterowniczych, wpatrywał się tylko w ekrany, dzięki którym miał widok na drogę.

Po godzinie wędrówki szosa całkiem się zakorkowała. Jacek wysłał naprzód spieszzonego Romeo Triescu, któremu łatwiej było przecisnąć się przez tłum. Okazało się, że w zakolu drogi utknął traktor. Rolnicy starali się uruchomić silnik, lecz biały dym spod maski nie wróżył rychłego sukcesu. Z pomocą kolby karabinu Romeo przedarł się do maszyny. Rozkazał najgłośniejszym krzykaczom podnieść maskę i dokonał szybkiego oglądu silnika. Sprawa była beznadziejna.

— Szeregowy Triescu do plutonowego — nadał przez radio. — Nie ma szans naprawy, zjarany przewód paliwowy, płyn hamulcowy się zagotował, zatarty rozrząd, masakra. Musimy usunąć to z drogi, ale potrzeba przynajmniej dwóch zbroi, bo to zajebicie ciężki złom.

Na wiadomość, że ich traktor trzeba będzie zepchnąć w dół urwiska rumuńscy rolnicy zaczęli złorzeczyć. Ich żony podniosły lament, a dzieci, jak na komendę, rozplakały się. Romeo stracił panowanie nad sobą. Jednego z Rumunów trzepnął kolbą w potylicę. Mężczyzna padł na ziemię nieprzytomny, a zebrani wokół zaczęli wrzeszczeć „morderca! zdrajca!”. Romeo wycelował karabin w pierś najbardziej agresywnego rolnika. Zagroził, że go zastrzeli, jeśli ten natychmiast nie zabierze stąd swoich dzieci i reszty rodziny. Mężczyzna stanął jak wryty, a spojrzenie miał złe. Sytuacja stała się bardzo napięta. Dwie Urty opuściły szyk, aby zająć się unieruchomionym traktorem. W tej samej chwili nad linią drzew pojawiła się rakietą, która w mgnieniu oka pokonała kilkaset metrów i wbiła się w jeden z kroczących BPW. Czerwono czarna eksplozja momentalnie połknęła obu operatorów, kilku uchodźców, a naokoło rozrzucała rój śmiercionośnych odłamków. Fala uderzeniowa powaliła kilkadziesiąt osób. Gdy rozwiął się dym, Romeo zobaczył, że z trafionej Urty nie zostało zupełnie nic, a z drugiej tylko sterczące kikuty nóg.

Plutonowy Zieliński zamarł oszołomiony wewnątrz pancerza. Nagła eksplozja zniszczyła wszystkie sensory i kamery, a jego samego ogłuszyła i oślepiła. Krew z nosa i uszu popłynęła cienkimi strumieniami. Temperatura wewnątrz Urty gwałtownie się podniosła, więc Jacek na ślepo wymacał spust blokady pancerza. Pociągnął dźwignię, lecz nic się nie stało. Pod wpływem fali uderzeniowej systemy elektroniczne spaliły się na proch. Zostało tylko zwolnić blokadę ręczną i z całej siły napierać na przednią płytę.

Rosnąca od płonącego silnika temperatura dodała Jackowi siły. Zaparł się rękami o tył kabiny i obiema nogami wypchnął płytę ewakuacyjną.

Urta Zielińskiego stanęła w pół kroku. Blachy pancerza przeorały odłamki, a z rur wydechowych i otworów klimatyzacyjnych buchał ogień. Jacek wygramolił się jak niezgrabny chrabąszcz z grudy brudnej ziemi. Nie całkiem przytomny, odruchowo wyszarpnął ze schowka hełm, karabin i kamizelkę kuloodporną. Zaczął się uzbrajać, choć ból głowy był koszmarny. Miał wrażenie, że sam zaraz eksploduje. Zacisnął zęby, żeby nie wrzeszczeć. Dopiero po chwili wrócił mu wzrok i słuch. Jego oczom ukazał się widok, jak z obrazu Boscha. Zobaczył obdarte z ubrań, nagie ciała, powykręcane w nie-naturalnych pozach. Pomiędzy wrzeszczącymi ludźmi krążyły ryczące, czarne diabły, które ciągnęły za sobą jężory ognia. Białka ich oczu popękały pod wpływem piekielnego ognia, a skóra na ich ciele smażyła się i odpadała grubymi połaciami. Dziesiątki rannych zostało stratowanych przez przerażony tłum, który rzucił się do bezładnej ucieczki. Wśród zdeptanych, Jacek zauważył mundur szeregowego Romeo Triescu. Panika sięgnęła zenitu, gdy nad lasem pojawiły się pociągłe sylwetki niewielkich dronów. Maszyny rozdzieliły się na dwie grupy i bardzo szybko zbliżyły. Jacek krzyknął „padnij” i rzucił się na asfalt. Drony eksplodowały w środku kolumny uchodźców, zbierając śmiertelne żniwo. Drugi rój bezzałogowców zaatakował Urty. Operatorzy byli przygotowani. Automatycznie naprowadzane działka zadziały w trzech zbrojach, co wystarczyło, aby odeprzeć atak.

— Trzymać szyk! Nie wolno odsłonić Mihaia! — rozkazał Zieliński

Szeregowy Wyrkowski wysunął ramię z raketami krótkiego zasięgu i wystrzelił trzy samonaprowadzające pociski w kierunku pozostałych dronów. Wszystkie dosięgły celu.

Po ataku drugiej fali dronów tylko trzy BPW pozostały w pełni sprawne. Pluto nowy kucnął obok Urty Mihaia i kodem dostępu dowódcy wymusił jej otwarcie. Z kabiny operatora buchnął szary dym, a Rumun niezdarnie wyskoczył na asfalt. Leżąc na boku ścisnął krwawiące udo i krzyczał z bólu. Metalowy odłamek wbił się dość głęboko, na szczęście rana nie była poważna. Polak pewnie chwycił blaszkę i wyszarpnął z nogi Mihaia, na co ten zareagował kolejnym wrzaskiem.

— Opanuj się chłopaku — warknął Jacek i podał Rumunowi środek przeciwbólowy. Tymczasem kolejny klucz dronów zaatakował Siódemkę. Operatorzy nie czekali na rozkaz, otworzyli zmasowany ogień i na dzień dobry zniszczyli kilkanaście niewielkich maszyny. Poskutkowało. Reszta klucza zrobiła gwałtowny zwrot i zaatakowała

uciekinierów. Ktokolwiek sterował dronami, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z wagi osoby, którą Polacy prowadzili. Jacek pomyślał, że bardziej temu komuś zależało na zabijaniu cywili, niż walce z wrogiem. Siódemka stała się częścią wojny wrogich cywilizacji, wojny na wyniszczenie, dokładnie tak, jak mówił komunikat ze sztabu.

— Wstrzymać ogień — wrzasnął przez radio Zieliński. — Oszczędzać amunicję.

— Panie plutonowy — zaprotestował kapral Paździec. — Oni tych ludzi rozszarpia!

— Wstrzymać ogień! — powtórzył Zieliński. — Wracamy do Poiany.

— Zdążymy? — zapytał szeregowy Mario Milić. — Zanim oblezie nas piechota?

— Nie mamy wyjścia — rzekł Zieliński. — Tędy nie przejdziemy, trupy całkiem zablokowały drogę, a lotnictwo najwyraźniej dało nogę. Droga 1E będzie pod ostrzałem. Wykonać!

Siódemka znowu ruszyła pod górę.

6.

Drewnianą fasadę pensjonatu Valea Cetatii częściowo strawił ogień. Dogasające deski stropu zagasił przelotny deszcz, który chmury łaskawie zesłały, aby ulżyć wyschniętej ziemi. Mimo pożaru, parter drewnianego budynku nadawał się na schronienie, z którego Siódemka skwapliwie skorzystała. Przycupnięty w głębokiej, leśnej dolinie pensjonat dał wyczerpanym żołnierzom chwilę wytchnienia. Z siódmego plutonu zostało sześciu żołnierzy. Plutonowy Zieliński, kapral Paździec, starszy szeregowy Wyrkowski oraz szeregowi Mario Milić, Jan Burski i Dawid Skowron. Operatorzy mieli do dyspozycji raptem trzy aktywne Urty, ale wiadomo było, że w dalszą drogę będzie można ruszyć tylko z dwiema. Układ napędowy zbroi kaprała ostatecznie wysiadł po dotarciu do Valea Cetatii.

Jacek zarządził postój. Żołnierze ustawili aktywne BPW na skraju lasu. Zbroje zostawili otwarte i w stanie gotowości. Dzięki temu, w razie konieczności, operatorzy mogli w pół minuty wskoczyć do kabin i rozpocząć akcję.

Komunikacja ze sztabem zamilkła, GPS też. Siódemka została odcięta od pepowiny, która łączyła ją z natowskim systemem bezpieczeństwa i nawigacji. Plutonowy potrzebował informacji. Nie miał czasu na zwiad, a tradycyjna obserwacja przez lornetkę nic by nie dała, ponieważ znajdowali się w gęsto zalesionej dolinie. Jacek miał jeszcze do dyspozycji inny sposób. Uruchomił drona zwiadowczego, by wykonać rekonasans okolicy. Sam zasiadł na krytym tarasie i założył gogle sterujące. Skupił się na

krętej szosie, prowadzącej na zachód oraz na odległym o półtora kilometra Rasnov. Potem wysłał drona dalej na zachód i na północ. Po godzinie obserwacji opracował nową trasę.

Na zachodnim nieboskłonie pomarańczowe słońce podświetlało różowe i fioletowe pasma chmur. Dolina oblała się ciepłym rumieńcem. Do plutonowego podszedł Mihai. Chłopak stękał i kulał, dziura w udzie dawała się we znaki. Mimo tego przyniósł dwa parujące kubki.

— W kuchni stoi działający ekspres — wyjaśnił Mihai, widząc zdziwione spojrzenie Polaka. Jacek upił dwa łyki i poczuł się jak w niebie.

— Tam na drodze uratowaliście mi życie. Dziękuję.

Jacek nie skomentował, kiwnął tylko głową.

— Dobrze mówisz po polsku — zauważył.

— Przez lata studiowałem w Polsce. Miałem stypendium w Katowicach i robiłem doktorat.

— Doktorat? — zdziwił się Jacek. — To ile ty masz lat?

— Dwadzieścia cztery — odparł Mihai. — Zdolny jestem. Doktorat obroniłem, jak miałem dwadzieścia.

— Proszę bardzo, młody geniusz. A czym się zajmujesz?

— Robiłem doktorat z transferu sztucznych neuroprzekaźników, zajmuję się też konstruowaniem syntetycznych dendrytów i aksonów, rekonstrukcją synaps.

— A w praktyce?

— Wszystko sprowadza się do badań nad łączeniem ludzkiego mózgu z maszynami. Na przykład wasze Urty zawierają elementy układów sterowania myślą mojego projektu.

— Nic dziwnego, że cię chcą w Warszawie. A jak to się stało, że wylądowałeś na tym zadupiu?

— Pracowałem w Bukareszcie na uniwersytecie. Gdy wybuchła wojna przenieśliem się do unijnego ośrodka biochemii w Koszycach. Niedługo potem dostałem z Warszawy propozycję, ale nie miałem ochoty wracać do Polski. Nie obraż się, ale nie lubię waszego kraju. Trochę za dużo w nim świętych.

— Wiem, co masz na myśli — mruknął Jacek, przypominając sobie żonę i jej rodziców.

— Postanowiłem, że wrócę do Rumunii.

— Pomimo wojny?

— Pomimo wojny. Nie wiedziałem jeszcze, co będę robić. Zaczął mnie nagabywać rumuński wywiad. Chcieli, żebym dla nich poprowadził jakieś badania. Rząd się też odezwał, zaproponował mi całkiem dobre warunki w ośrodku pod Sybinem. To niedaleko stąd. Ale nie byłem przekonany do żadnej propozycji, a tamci nalegali. Ciągłe śledzili mnie tajniacy, nie dawali spokoju, kusili forszą, a potem zaczęli też grozić. No to uciekłem. Postanowiłem, że zniknę na kilka tygodni. Chciałem trochę czasu spędzić w Brasov, trochę w Poianie. W spokoju pomyśleć, popracować nad własnym projektem. I wtedy dopadli mnie tajniacy twojego rządu. Przedstawili propozycję nie do odrzucenia i trzymali pod kluczem, aż się nasz rząd dogada z waszym. No i wtedy walnęła ta ofensywa i wszystko się zesrało. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że z Poiany odbiorą mnie Rumuni, a nie Polacy.

— Co ci do łba strzeliło, żeby do Brasov jechać na urlop? Przecież front był wtedy niedaleko na południe. A nasze borowiki mogły nie być tak uprzejme, tylko wsadzić cię do bagażnika i wywieźć do Polski.

— Wydawało mi się, że w sąsiedztwie linii frontu nikt mnie nie będzie szukał. Teraz to i tak bez znaczenia. Moja jedyna opcja to praca dla twojego rządu. Tylko czy nam się uda przebić do Brasov?

— Tobie na pewno — skomentował Jacek — ale nie wracamy do Brasov. Za późno na to.

Na taras wszedł Wyrek.

— Panie plutonowy. Starszy szeregowy Wyrkowski z zapytaniem.

— Nie drzyj łacha, Wyrek, nie jesteśmy w koszarach. Mów normalnie.

— Wszyscy chcą wiedzieć, czy mamy już plan?

Zieliński odłożył gogle i tablet do kuferka, a potem wrócił do plutonu. Żołnierze w ciszy popijali kawę i podgryzali ciastka.

— Jaka sytuacja? — zapytał kapral Paździec.

— Sądzę, że pierwsze oddziały pancerne wchodzić właśnie do Brasov. Do Poiany dotrą godzinę później.

Jacek rozłożył na stole papierową mapę.

— Idziemy do Rasnov, potem jeszcze dalej na zachód, przez Vulcan i kryjemy się w lesie. Skręcamy na północ, do Codlea. W mieście znajdziemy auto i przeczekamy do wieczora. W nocy pojedziemy do Sfantu Gheorghe. Droga zajmie około godziny, ale

pod osłoną nocy powinniśmy przemknąć bez problemu. W ten sposób ominiemy szerokim łukiem Brasov, które będzie już pełne wojska. Na północ od Sfantu jest lądowisko dla helikopterów.

— Uciekniemy helikopterem? — wątpił Paździec.

— Będzie na nas czekać awionetka. Zanim straciliśmy łączność, dostałem maila ze sztabu. Podali lokację i godzinę odlotu, czyli pojutrze o dwunastej w południe. Lotnictwo już się wycofało, ale na czas ekstrakcji zapewni nam osłonę. Jeśli przegapimy okno, to żegnaj Polsko. Sztab uroni łzę, że nie dostanie swojego specja, ale jakoś to przeżyją. Nie mają czasu, ani środków na poważniejszą operację.

— Czyli jesteśmy w dupie — skomentował Wyrek.

— Wszystko zależy, czy dotrzemy do Sfantu na czas. Za dziesięć minut zbiórka. Wyrek i Paździec, zaminować wszystkie Urty, zegar ustawić za cztery godziny.

— Zostawiamy broje? — zdziwił się Burski.

Jacek potwierdził.

— Nie możemy narobić hałasu. W okolicy krążą partyzanci. Musimy poruszać się cicho i w ciemności. Nie zapominajcie, że nadal mamy do wykonania misję. Mihai Voinea musi dotrzeć do sztabu. Codlea jest trzy godziny marszu stąd, a musimy tam dotrzeć przed świtem.

Plutonowy Zieliński wrócił na taras, gdzie zastał Mihaia z tabletem w ręku.

— Co robisz?

— Sprawdzam, czy można się połączyć z siecią.

— Przykro mi stary. Nie mamy żadnej łączności.

— Nie sądziłem, że jest aż tak źle. Co z nami będzie? — Mihai wyglądał na załamane.

— Szykuj się. Ruszamy w drogę.

7.

Droga do Rasnov okazała się łatwiejsza, niż ktokolwiek mógł podejrzewać. Oddział nie mógł poruszać się zbyt szybko, ze względu na ranę Mihaia. Szli ostrożnie, korzystając z każdej osłony, jaką znaleźli, a tych nie brakowało. Przez okolicę przetoczyły się ciężkie walki, więc dolina wyglądała jak po deszczu meteorów. Całe połacie lasu spłonęły, a na drogach zalegały auta osobowe porzucane jak zabawki. Rów na boku wyglądał jak złomowisko, a na wiadukcie płonęły dwa czołgi. Siódemka miała

ułatwione zadanie. Letni upał oraz szerzące się pożary chroniły Polaków przed wykryciem czujnikami ciepła i ruchu. Gdy minęli wiadukt, natknęli się na trupy, dziesiątki zalegających na asfalcie trupów. Śwąd spalenizny ustąpił miejsce słodko kwaśnemu odorowi gnijących ciał. Nie było tu żołnierzy, tylko cywile. Jackowi znowu stanął przed oczami obraz z biura podpułkownika. Ludzie podziurawieni kulami zastygli w bezruchu, jakby chcieli pozować artyście.

— Dopadli ich z zaskoczenia — mruknął kapral Paździec. — Nawet nie zdążyli się rozbiec.

Jacek zatrzymał się nad ciałem młodej, może dwudziestoletniej dziewczyny. Ubrana była podobnie jak jego kochanka, Kristina. Miała śliczną twarz, kruczoczarne włosy i obfity biust. Delikatną dłonią przykryła dziurę w brzuchu. Jacek spojrzał na krwawy ślad, prowadzący w prostej linii przez kilka metrów. Kula nie zabiła jej od razu, pomyślał plutonowy. Dała radę odczołgać się na bok. Chyba nie panikowała, bo jej twarz wyrażała rezygnację, smutek, lecz nie strach. Plutonowy kucnął i dotknął delikatnego policzka dziewczyny.

— Chodź, Jacek — powiedział Wyrek. Wiedział doskonale, co chodziło dowódcy po głowie. — Nic się nie martw. Kristina już się ewakuowała, na pewno.

Jacek był wdzięczny przyjacielowi za słowa pociechy, mimo iż zdawał sobie doskonale sprawę, że żadnej ewakuacji ludności cywilnej nie planowano. Przez kolejne godziny marszu nikt się nie odezwał.

Noc zrobiła się jasna, niebo obsypały niezliczone gwiazdy. Upał zelżał, co wszyscy przyjęli z wielką ulgą. Siódemka poruszała się luźnym szykiem między drzewami, na skraju wzniesienia. Po prawej mieli dobry widok na drogę prowadzącą do miasta Vulcan. Polacy zachowali czujność, mimo iż w okolicy panował spokój, a droga pozostała pusta. Odkąd żołnierze opuścili pensjonat Valea Cetatii, nie spotkali ani jednego wozu, wojskowego lub cywilnego. Miasto, a właściwie miasteczko wyglądało na opuszczone, jednak na wszelki wypadek Polacy ukryli się na skraju lasu i z góry obserwowali ulice. Na przeciwnym krańcu miasta ukrywało się kilka osób, które pod osłoną nocy, postanowiły wyjść w poszukiwaniu żywności. Jacek zdecydował, że Polacy nie będą nawiązywać kontaktu z cywilami, żeby nie ryzykować zdradzenia pozycji. Poniżej ich kryjóWKi przebiegała droga wylotowa z miasta, w zakolu której przycupnęła stacja benzynowa. Plutonowy wysłał szeregowych Milića i Skowrona na dół, by zabrali trochę butelek z wodą i suchy prowiant. Jak na złość, gdy żołnierze zniknęli w budynku stacji, na drodze pojawiło się auto. Zbliżało się niezbyt szybko, kierowca najwyraźniej nie

miał zamiaru się kryć, ponieważ włączył światła drogowe. Skryci w lesie Polacy przywarli do ziemi. Plutonowy Zieliński zobaczył, że Milić i Skowron schowali się w sklepie za ladą.

— Gotowość — szepnął Jacek. Polecił, by Mihai położył się obok i zakrył rękami głowę. W razie akcji, miał nie ponosić się z ziemi. Mihai bez szemrania wykonał polecenie, lecz oczy miał rozbiegane. Tymczasem auto znacznie się zbliżyło. Nie był to zwykły samochód osobowy, lecz pickup obsadzony uzbrojonymi partyzantami. W odkrytej części ładunkowej zacumowano trójnog z karabinem maszynowym.

— Skręć w prawo, skręć w prawo, skręć w prawo. — Mantra plutonowego Zielińskiego nic nie dała. Patrol nie odbił dalej w szosę, tylko zjechał na parking przed stacją. Z pickupa wysypało się ośmiu uzbrojonych osobników. Zachowywali się niefrasobliwie. Głośno rechotali, a potem zabrali się za tłuczenie szyb, co powodowało u nich kolejne fale radości. Byli bardzo pewni siebie. Jacka aż korciło, by dać draniom nauczkę.

— Przecież to nawet nie wojsko — myślał sobie. — Zwykła hołota z bronią, na dodatek mordercy, pewnie też gwałciciele.

Jacek szczerze takich nienawidził. Przypomniwał sobie widok ciał na drodze, przypomniwał sobie twarz martwej dziewczyny.

Żołnierze wzięli na cel poszczególnych partyzantów, bo idealnie wyczuli intencję dowódcy. Wiedzieli, że nie było tu miejsca na realną walkę. Po wydaniu rozkazu, pierwsza salwa Polaków skosiłaby połowę patrolu, Skowron i Milić z flanki położyliby resztę. Całkowity efekt zaskoczenia, doskonałe pozycje i przede wszystkim świetnie wyszkoleni strzelcy nie mieliby najmniejszych problemów. Zieliński wiedział o tym doskonale. I miał wielką ochotę wydać rozkaz. Skosić skurwysynów, pomyślał. Tak łatwo. Ośmiu kozojebów mniej. Może i by się ranny trafił, to byśmy gnoja w rowie zostawili, żeby zdychał przez trzy dni.

Atmosfera na skraju lasu zrobiła się napięta. Kilku partyzantów zniknęło w budynku sklepu. Jacek oczekiwał pierwszych wystrzałów. Znał Skowrona i Milića doskonale, wiedział, że nie chybią. W pierwszej serii przynajmniej dwóch zdjętych. Prosty rachunek. Plutonowy miał szczerą nadzieję, że strzelanina sama się zacznie, a wtedy on z czystym sumieniem będzie mógł rozwalić resztę patrolu.

W sklepie rozległ się łomot i brzęk tłuczonego szkła, lecz to nie były wystrzały. Gromki śmiech partyzantów dowodził, że nadal nie znaleźli Polaków. Trzech zbiorów opuściło sklep, triumfalnie unosząc w górę butelki wódki. Ich koledzy odparli równie

entuzjastycznym okrzykiem. Banda zakończyła rekonesans i zapakowała się do wozu. Zieliński czuł, że swędział go palec, a spust prosił o odrobinę czułości.

Żołnierze nie spuszczaali partyzantów z oczu. Silnik pickupa zacharczał, zakaszłał, z rury wydechowej buchnął dym. Teraz byłoby najłatwiej. W zasadzie jedna, precyzyjna seria. Rach, ciach i po krzyku.

Auto zniknęło za zakrętem. Jacek się spocił i jeszcze przez chwilę obserwował pustkę.

— Skowron, Milić, wracajcie — podał przez radio.

Żołnierze wymienili spojrzenia i też odetchnęli.

— Dlaczego ich nie zabiliście? — zapytał Mihai.

Jacek nie skomentował. Kucnął pod drzewem i obserwował wracających szeregowych.

— Plutonowy nie chciał zdradzić naszej pozycji — wyjaśnił Wyrek.

— Szkoda amunicji, co? — powiedział kąśliwie Mihai.

— Czego się gnojku czepiasz? — wtrącił Paździec.

— Przecież to mordercy. Widzieliście, co robili z cywilami.

— My tu nie z misją pokojową, — warknął Wyrek. — Mamy zadanie do wykonania, żeby twoją dupę doczołgać do sztabu.

— Czyli zwykłych ludzi macie gdzieś, tak?

— Weź se chłopaku na wstrzymanie. To jest wojsko, a nie mordobicie w remizie.

— Ładne z was wojsko. Ludzi mordują na ulicach, a żołnierze polscy kryją się w krzakach.

— Dość — uciął plutonowy Zieliński. Wyglądał na wściekłego. Wyrek miał wrażenie, że Mihai dostanie zaraz w twarz. — Oddział w komplecie? No, to w drogę.

Jacek nawet nie spojrzał na Mihaia. Wyminął go i wszedł na ścieżkę.

Minęła kolejna godzina i na wschodzie ponad linią drzew pojawiła się żółta poświata. Do samego Codlea Siódemka maszerowała w milczeniu.

8.

Na kwaterę Jacek wybrał budynek na skraju miasta, do którego prowadziła ciasna, żwirowa droga. W razie kłopotów, miejsce było dobrym punktem obronnym. Piętrowy dom zbudowano na zboczu wzniesienia. Od zachodu osłaniał go las, od frontu otaczał kamienny mur, a droga wjazdowa prowadziła ostro pod górę, więc byłoby ciężko zbliżyć się niepostrzeżenie. Właściciele musieli być całkiem zamożni, ponieważ

meble, jak i wykończenia, wykonano z dobrych materiałów i bez cienia tandety. Nowoczesny wystrój mieszkania świetnie się komponował z nutą tradycyjnej, rumuńskiej pstrokatości. Jacek widział wielokrotnie ten styl w mieszkaniach swoich kochanek. Ludowe motywy, kolorowe paski, Maryjki i Jezuski wkomponowane w drewniane ramy, mnogość świętych ikon, a wszystko zmiekkzone kolorowymi dywanami i dziesiątkami poduch i zagłowników. Nawet wnętrza tutejszych cerkwi wyglądały jak przytulne, babcine saloniki, a cmentarze wypełniały drewniane nagrobki, kolorowe jak dziecięce malowanki. Tak też było i w tym domu, z tą tylko różnicą, że miał on mnóstwo wolnej przestrzeni, luksfery z grubego szkła oraz wysokie okna. Chłopakom się spodobało. Można było zapomnieć, że trwała wojna.

W pierwszym ruchu, Jacek rozstawił czujki oraz wysłał do miasta zwiad. Milić oraz Burski mieli sprawdzić sytuację w mieście, a przy okazji znaleźć nadający się do użytku pojazd, najlepiej bus albo półciężarówkę. Do ochrony Mihaia przydzielił szeregowego Skowrona, a sam zabrał na obchód Wyrka. Żołnierze wyszli za posesję i przeszli pas suchej ziemi, odgradzającej budynek od lasu.

— Słuchaj, Wyrek — zagadnął plutonowy. — Mam wrażenie, że nasz sojusznik coś kombinuje.

— Okej — przytaknął szeregowy. — Co ci chodzi po głowie?

— Nie wiem. Nic konkretnego. Ale czuję coś w kościach.

— A co on może zrobić?

— Chyba nic — zastanowił się Jacek — ale pamiętasz, jak się schowaliśmy w tym pensjonacie w dolinie? Złapałem wtedy Mihaia, jak coś kombinował z moim tabletem. Próbował się połączyć z siecią. Sprawdziłem później adresy i nic podejrzanego nie znalazłem. Chciał się do maila zalogować i tyle. Ale skąd ja, kurwa, mam wiedzieć, czy mu się udało, czy nie? W końcu to jebany geniusz jest, doktorat po dwudziestce, to co za problem dla niego coś rozkminić z kompem i się połączyć? Nie wiem. Jak dla mnie, to fałszywy typ.

— No, a gdyby się nawet połączył, to co?

— Gadałem z nim tamtego wieczora i trochę mi opowiadał o swoich problemach z tajniakami. Sam powiedział, że nie chce do Polski i że wolałby, żeby go Rumuni odebrali z Poiany. No, to może on się ze swoim rządem połączył i podał im naszą pozycję? Albo coś innego wykminił? Nie chciałbym, żeby nas rumuńskie wojsko teraz opadło. Niby to sojusznik, ale cholera ich wie. Skoro ten Mihai tyle jest warty, to kto by im tam bronił kropnąć siedmiu Polaków?

Wyrek nie miał zamiaru dyskutować. Ufał intuicji dowódcy, więc zaczął się zastanawiać, jak jeszcze lepiej zabezpieczyć oddział.

— Może jakiś zwiad zrobię — zaproponował — zanim w nocy ruszymy, co?

— Nie w nocy. Niedługo wrócą Milić i Burski z bryką. Będzie trochę zamieszania, więc oficjalnie wydzielę ci punkt na czujkę, a ty po cichu zrobisz rekonesans. Chciałbym, żebyś sprawdził drogę na północny wschód, do Sfantu. Gdyby chcieli nas cesać, to najlepiej byłoby tam.

Jacek nie ufał Mihaiewi, dlatego plan, który wszyscy znali, postanowił zmodyfikować. Pod osłoną nocy chciał ruszyć do Sfantu Gheorghe, ale nie trasą południowo-wschodnią, jak ustalił wcześniej, tylko wpierw na zachód do Vladeni, a potem ostro skrócić na wschód do Sfantu przez Feldioarę. Siódemka miała nadłożyć w ten sposób drogi i trochę kluczyć, ale Jacek chciał zrobić dwudziestokilometrowego zygzała, żeby zgubić ewentualny ogon. Z nikim się swoimi rewelacjami nie podzielił, w zamian za to zarządził dwugodzinne drzemki. Na pierwszych w kolejności do spania wyznaczył kaprala Paździeca i siebie samego. Był w końcu dowódcą i należało mu się.

9.

Jacek otworzył oczy. Leżał na boku z podkurczonymi nogami i dłonią pod głową, wypoczęty, odprężony. Ani jeden mięsień nie napinał się ponad potrzebę, zupełnie jakby ciało nadal śniło. Oddychał równo, miarowo. Z przyjemnością wdychał górskie, popołudniowe powietrze. Żołnierzowi udało się odnotować w pamięci sen, zanim rozwiął się od razu po przebudzeniu, jak to sny mają w zwyczaju. Śnił o swoim złęknionym, zeszywniałym ciele, nie po raz pierwszy zresztą. Odkąd przyjechał do Rumunii, wizja przestała być przerażająca. Przynosiła spokój. Jacek nie uważał, aby ta zmiana miała jakiś zapisany w gwiazdach sens. Jego żona pewnie uznałaby to za dar od Boga, ale on nigdy nie był wierzący, nie był nawet przesądny. Zmuszał się do brania udziału w religijnych obrządkach ze względu na rodzinę, lecz klepał zdrowaśki, bo tak wypadało. Bez wiary, za to z niechęcią. Ślub kościelny znudził go, a pierwsza komunie Zośki wręcz zniesmaczyła. Tak samo za bzdurę miał wszelkie zabobony, typu święcenie jajek albo sypanie piasku na głowę. Ale w tym jednym wypadku doszukiwał się głębszego sensu. Nie nadnaturalnego, nie boskiego, Jacek sam nie wiedział, jakiego. To była zmiana w nim, wynikająca z tego, co przeżył. Czuł, że było to coś, co kryło się w jego wnętrzu od dawna, lecz dopiero pod wpływem rumuńskiego powietrza, znalazło ujście. Nic z tego

nie rozumiał, wiedział tylko, że zrozumie, gdy przyjdzie pora. Nie zastanawiał się nad tym głębiej. Nie miał czasu. Musiał brać się do roboty.

10.

Duża, czarna mucha odbijała się od szyby, jakby postradała zmysły. Gdy nie znalazła wyjścia z salonu, w kilku szybkich ruchach przyleciała do szeregowego Skowrona. Usiadła mu na ramieniu, lecz ten nie docenił czułości i odpędził owada ręką. Mucha jednak nie ustępowała i próbowała przykleić się do zarośniętego policzka.

— Ależ mnie wkurwia ta mucha — mruknął Skowron.

— Spoko — powiedział Wyrek — on jest już taka głupia, że zaraz sama zdechnie. Skowron zarechotał.

— Zdechnie z głupoty, tak?

— Dokładnie.

— Szkoda, że z ludźmi tak nie ma — skomentował Mihai. Żołnierze podchwycili dowcip i szczerze się uśmiali.

— Oj, z głupoty, to by mnóstwo ludzi pękło — rzekł Wyrek.

— Patrzcie, co mam — powiedział Mihai i sięgnął ręką do swojego plecaka. Ze środka wyciągnął butelkę pomarańczowego płynu. Żołnierze szeroko otworzyli oczy. Skowron przejął flaszkę i zapatrzył się w naklejkę.

— Prawdziwa żołądkówka — powiedział z podziwem.

— Prosto z Lublina — dodał Mihai z uśmiechem i wyjął plastikowe kielonki. — Po maluchu?

— No, co ty, chłopaku — zachnął się Wyrek. — Pracujemy.

— Dajcie spokój, po jednym nie zaszkodzi — odparł Rumun i nalał do kielonków.

— Nie ma opcji, stary. Jesteśmy na służbie.

— A myślałem, że wy, Polacy, nigdy nie odmawiacie.

— Masz trochę wykrzywione pojęcie Polaka — pouczył Skowron. — To nie armia ZSRR.

— Ty chyba niespecjalnie nas lubisz, co? — spytał Wyrek.

— No, co wy, panowie? — zaprzeczył Mihai. Chłopak opróżnił pierwszy kielonek i chwycił drugi. — Wasze zdrowie. — Wypił drugiego, a potem trzeciego. — Nie chodzi o to, że was nie lubię. Po prostu u was, w Polsce, niedobrze się czułem.

— A co ci źle było?

— Ja wam powiem. Jak Polak jedzie na zachód, to pracuje jak mrówka, nie marudzi, jest miły i koleżeński. A jak Polak jedzie na wschód albo do nas, na południe, to się czuje jak panisko. Jak jakiś, kurwa, obszarnik, co się na jego ziemi ktoś przypadkiem osiedlił i tylko czekać, aż się wyniesie. A jeszcze gorzej, jak się Rumun, Ukrainiec albo Litwin w Polsce urządzi. Tego mu nie darują, bo Rumun, Ukrainiec albo Litwin to gorsi ludzie, poddani pana Polaka. Jeszcze gorzej traktujecie tylko Czechów.

— Co ty pleciesz, stary? — zdziwił się Wyrek. — Na pewno się czasem jakiś oszłom trafi, ale to wcale nie tak, żeby wszyscy byli takimi chujami.

— Nie? — dopytał Mihai. — To powiedz mi, panie starszy szeregowy. Jak ty się czujesz tu w Rumunii, co? Jak zdobywca, wyzwoliciel? Panisko z lepszego kraju?

— Co ty mi tu z taką faszystowską gadką wyjeżdżasz? — zezłościł się Skowron. — Ja tu w Rumunii jestem na wojnie. Walczę z wrogiem, który chce mój dom rozjebać. A ludzie w Brasov nigdy na Polaków nie narzekali. Wojsko przyjęli chętnie i nigdy nie słyszałem, żeby chcieli nas pogonić.

— No tak, ale przecież wam się uznanie należy już tylko za to — ironizował Mihai — że jesteście z Polski. Moralni zwycięzcy i przedmurze chrześcijaństwa. Wiem, co myślicie. Chcielibyście w końcu być po tej zwycięskiej stronie. W końcu być bohaterami i wyzwolicielami, dlatego tak chętnie ruszyliście do Rumunii. Żeby się panowie Polacy poczuli wreszcie mocni, że to oni komuś łupnia dają, a nie sami ciągle obrywają. Jak taki nerd, który ciągle w podstawówce dostawał po ryju, ale jak dorósł, to trochę dopakował, zebrał własną bandę i sam poszedł komuś spuścić wpierdol. I teraz czuje się mocny. Tak, tak, Polska teraz czuje się mocna i fika. Nie ma już obok silnej Rosji, nie ma komu pięścią wygrażać, to sobie znaleźliście inne pole bitwy. Wreszcie macie historyczną sprawiedliwość. Daliście komuś łupnia i okrzyknęli was wyzwolicielami.

Skowron i Wyrek wymienili zniesmaczone spojrzenia.

— Ty się, koleś, chyba czegoś za bardzo naczytałeś. Nic nam się nie należy, a zwycięzcami też nie jesteśmy, bo jak sam widzisz, właśnie próbujemy stąd uciec.

— Masz ewidentnie jakiś problem, ziomuś — dodał Wyrek. — To ja ci teraz coś powiem. Jak przyjechałem do Rumunii, to spodziewałem się spotkać napakowanych dzikusów, miasta jak w Polsce za komuny i pełno Cyganów na ulicach. A tu proszę. Brasov jak Kraków, tylko trochę mniejsze. Panienki takie, że nic tylko rwać. To na co ja mam narzekać? Dlaczego ja się mam lepszy czuć? Ja się po prostu czuję tu dobrze, tylko szkoda, że jest wojna, bo wszystko idzie w rozpierdol.

— Szkoda, że nie wszyscy tak myślą — mruknął Mihai.

— Większość tak myśli. I, jak na razie, nie słyszałem, żeby ktoś z Vlada, Polak czy Niemiec, narzekał na Rumunię. I my się właśnie o to tutaj bijemy. Żeby żadna menda nie przylazła i nie wciskała nam, że ktoś jest lepszy, a ktoś gorszy tylko dlatego, że urodził się w Koziej Wólce, a nie w Belwederze. Zresztą, co ja ci będę tłumaczył? Ty wiesz swoje, ja swoje. Jak nie lubisz Polski, to już twój problem.

— Może i trochę Polski nie lubię, ale nie całej. Bardzo lubię polską wódkę. — Dla podkreślenia wagi swych słów, Mihai znowu sobie nalał, ale rozmowy nie kontynuował, bo w drzwiach stanął plutonowy Zieliński w pełnym rynsztunku.

— Wyrek, Skowron, do spania — rozkazał. — A ty weź sobie jeszcze nalej i mi coś powiedz.

— Rozkaz, panie plutonowy. — Mihai nalał kolejny kieliszek i szybko wypił.

— Ty jesteś uczona głowa. Potrafiłbyś odzyskać połączenie ze sztabem?

Mihai zastanowił się przez chwilę.

— Zależy jakie. Radiowe to na pewno nie, bo nie mamy sprzętu odpowiedniej mocy. Wasze krótkofalówki działają tylko na bliskim zasięgu, ale daleki zasięg to zupełnie inna sprawa. A sieciowe połączenie, to nie wiem. Zależy, dlaczego sieć padła. Jeśli to wynik przepychanki wirusów i tak dalej, to może coś bym zrobił. Choć nie jestem specem. Ale jeśli coś się stało z satelitami, to nie ma siły.

Jacek zamilkł. Mierzył Mihaia badawczym spojrzeniem i znowu odniósł wrażenie, że chłopak nie mówił prawdy.

— Ty coś kręcisz.

— Ja? — oburzył się Mihai. — W życiu. Ja naprawdę nie sądzę, żebym coś mógł z połączeniem zdziałać.

— Nie wierzę ci. — Plutonowy Zieliński stanął przed Rumunem i mierząc go złym spojrzeniem, powiedział:

— Co chciałeś zrobić z moim tabletem, co? Chciałeś połączyć się z siecią?

— Panie plutonowy, pan sobie żartuje ze mnie?

— Wtedy, w Valea Cetatii, kombinowałeś z moim tabletem, widziałem cię.

— No i co z tego?

Żołnierz złapał Mihaia za koszulę i gwałtownie szarpnął do góry. Chłopak z przerażeniem w oczach zaprotestował, a Jacek odniósł wrażenie, że to gra. Że Mihai pozwala sobą pomiatać.

— Próbowaleś połączyć się ze swoim rządem, co? Odpowiadaj!

— Panie plutonowy, proszę mnie puścić!

— Zdradziłeś im naszą pozycję? — Jacek szarpnął chłopakiem i rzucił nim o podłogę. Uniósł Beryla, odbezpieczył i wycelował między oczy. Mihai zamarł.

— Ostatni raz pytam. Czy zdradziłeś naszą pozycję?

— Nie zdradziłem nikomu naszej pozycji. Nie jestem samobójcą.

— To co robiłeś z tabletem? Za czym całą drogę się rozglądałeś?

Mihai milczał, wpatrując się w groźnie połyskujący wylot lufy.

— Odpowiadaj!

— Proszę nie strzelać — powiedział błagalnym tonem. — Chciałem zalogować się na pocztę i wysłać maila. Ale nie, żeby nas zdradzić. Chciałem napisać do mamy.

— Co ty mi tu ściemniasz?

— Nie ściemniam, żebyś zdechl! — Mihai mówił szybko i nerwowo. — Chciałem dowiedzieć się, czy udało jej się wydostać z Bukaresztu. Masz, oto cała prawda. Po to ukryłem się w Poianie.

— Mów dalej — polecił plutonowy.

— Ukryłem się w Poianie i szukałem sposobu, żeby się przebić na południe. Chciałem przejść przez góry. Zgromadziłem trochę sprzętu i zapasów, opracowałem trasę przez najtrudniejsze szlaki. Wiedziałem, że w kilku miejscach będę się wspinał, ale to nie problem, bo umiem. Przez lata jeździłem w góry, zdobyłem kilka trudnych ścian. No, to pomyślałem, że w takich miejscach nie będzie partyzantów i mam szansę. Planowałem ominąć Targoviste i pójść lasem. Z Poiany zajęłoby mi to ze dwa, trzy dni. Góra cztery w razie kłopotów. Miałem ruszać w drogę, ale namierzyli mnie wasi tajniacy i przetrzymali w Poianie. Dalej wiesz, co było.

— Co z twoją matką?

— No właśnie, kurwa, nie wiem! — zdenerwował się Mihai. — Po zajęciu Bukaresztu straciłem z nią kontakt. Mama to jedyna rodzina, jaką mam. Ojciec zginął w wypadku samochodowym, rodzeństwa nie miałem, żadnych ciotek i wujków. Tylko mamę. Jak się zaczęła wojna, to chciałem, żeby wyjechała z Rumunii, ale nie zdążyła. Miasto padło praktycznie z marszu. Potem ze dwa razy udało jej się maila napisać, że żyje i czuje się dobrze. Chciałem ją znaleźć. — Oczy Mihaia zrobiły się szkliste. Gdy mówił, głos mu się łamał. — Jak mnie zabraliście z Poiany, to pomyślałem, że w drodze będzie okazja żeby uciec. Wtedy w nocy, przy stacji benzynowej, myślałem, że się znacznie strzelanina. Będzie zamieszanie, a ja ucieknę i pójde przez góry na południe.

Jacek nie był całkiem przekonany, ale historia się kleiła. Żołnierz opuścił broń.

— Założmy, że ci wierzę. Jeśli spróbujesz dać nogę, to będziesz miał przejebane. Mam cię dostarczyć do sztabu żywego, ale o połamanych nogach nikt nie wspominał.

Jacek odwrócił się od Mihaia i stanął przy oknie. Słońce powoli zbliżało się do linii horyzontu. Wyrek i Skowron wrócili z drzemki akurat, gdy Paździec zameldował o zbliżającym się busie.

— To pewnie Milić i Burski — oznajmił plutonowy Zieliński — ale zachowajmy gotowość. Wszyscy na pozycje.

Pod dom zajechał czarny mercedes van. Wóz miał w karoserii kilka dziur po kulach, ale poza tym wydawał się być w pełni sprawny. Już z daleka plutonowy dostrzegł za kierownicą szeregowego Milića. Żołnierze wprowadzali wóz przez bramę i zaparkowali w wolnostojącym garażu. Zadowoleni z siebie żołnierze wmaszerowali do salonu.

— Szeregowy Mario Milić melduje wykonanie zadania.

— Bryka jeździ — uzupełnił Burski. — Nie za szybka, ale za to miejsca pełno, zmieścimy się wszyscy.

— Doskonale — pochwalił plutonowy. — Zróbcie dokładny przegląd. W nocy ruszamy w drogę.

Przegląd zajął żołnierzom niecałą godzinę. W tym czasie Wyrek po cichu wymknął się z domu, by sprawdzić drogę wylotową z miasta. Jacek spędził ten czas w salonie, studiując mapy i czyszcząc broń. Był już wieczór, gdy z zewnątrz dobiegł go skrzekliwy, przesterowany głos.

— Żołnierze polscy! Jesteście w pułapce. Poddajcie się, a nic wam się nie stanie. — Pierwszy zareagował Jacek.

— Milić — krzyknął przez radio. — Zabierz Mihaia na strych. Ani kroku bez mojego rozkazu.

Nie było chwili do stracenia. Polacy nie ruszyli do okien, żeby zorientować się, kto sobie stroił głupie żarty. Każdy ustawił się na wcześniej wyznaczonej pozycji, aby obserwować dom i podwórze.

Na zwirowej drodze pojawili się uzbrojeni partyzanci. Było ich przynajmniej dwudziestu, lecz z każdą chwilą przybywali kolejni. Skowron obserwował podwórko z pierwszego piętra. Od strony miasta zauważył brązowo szarą kurzawę. Przez lornetkę rozróżnił trzy auta, obwieszane partyzantami, jak świąteczne choinki. Zieliński z okna salonu dostrzegł, że bojownicy zajmują dogodne pozycje do ostrzału. Dom został otoczony, a partyzanci podciągali właśnie taczkę z cekaemem. Paździec i Burski ustawili

się przy oknach salonowych, które spoglądały na tyły domu. Natychmiast zauważyli ukryte w lesie postacie.

— Kapral Paździec, łap się za granatnik — polecił plutonowy. — Ten cekaem trzeba natychmiast rozwalić.

— Poddajcie się — znów odezwał się ten sam, nienaturalnie brzęczący głos. Jacek zauważył, że jeden z bojowników krzychał przez megafon. Dało się poznać, że miał posłuch wśród swoich ludzi. Mówił językiem polskim z wyraźnym, południowoeuropejskim akcentem. Jacek bez dłuższego namysłu uniósł Beryla i oddał pojedynczy strzał. Przywódca bandy nawet nie jęknął. Złożył się w pół jak zabawkowy transformers. Reszta bojówki podniosła larum i zaczęła chaotyczny ostrzał. Jacek kucnął pod ścianą i spokojnie sprawdził magazynki, tymczasem salon tańczył w najlepsze. Fruwały firanki i okruchy szkła, drewniane strzępy odpadały od mebli, prawosławne ikony zamieniły się w rój kolorowych konfetti. Luksfery pokryły się bujną siatką pęknięć i z każdą kulą rozsiewały coraz więcej szklanego miału. Kapral Paździec wyglądał na zirytowanego, ponieważ kufer z pociskami do granatnika leżał w przeciwnym kącie salonu. Żołnierz przygnał do ziemi i się podczołgał. Kilka rykoszetów niebezpiecznie blisko zaryło w podłogę, jeden z nich łupnął kaprała w hełm, ale ten nie zwracał na nic uwagi. Jackowi przeszło przez myśl, że i tak mają przechlapane, więc po co się stresować?

Ostrzał ustał. Przez krótką chwilę panowała niemalże cisza, ozdobiona subtelnym pobrzękiwaniem szklanych drobin, które jeszcze przez chwilę podskakiwały na podłodze.

— Poljaki! — rozległ się krzyk z podwórza. Inny partyzant podniósł megafon i wrzeszczał weń ile sił w płucach. — Poddajcie! Mamy jeniec! Poddajcie, ili wasz drug budzjet ubity!

Jacek uniósł się lekko, by wyrzeć za okno. Na drodze, w towarzystwie kilku zbiorów, klęczał starszy szeregowy Wyrkowski. Mówiący mieszanką polskiego i rosyjskiego partyzant w jednym ręku trzymał megafon, a w drugim maczetę, którą dociskał szyję żołnierza. Wyrek miał związane za plecami ręce. Jacek poczuł na karku zimny pot, a w żołądku urosło coś ciężkiego i bardzo klejącego. Wymienił szybkie spojrzenie z kapralem, który wreszcie doczołgał się do kufra, wyjął gruszkowaty pocisk i załadował do półmetrowej rury.

— Szefie — zapytał — co robimy?

Jacek nie wiedział. Nie mógł uwierzyć, że wszystko poszło aż tak źle. Jedyne, czego był pewien to, że nadal obowiązują go rozkazy i priorytetem było doprowadzenie Mihaia do sztabu. Na podwórku Wyrek próbował się szarpać, ale dostał kilka mocnych kopniaków w plecy. Obok sąsiedniego domu zatrzymały się trzy auta, z których wysypał się kolejny oddział partyzantów. Ich uzbrojenie było w większości przestarzałe, lecz w tej sytuacji nie miało to znaczenia. Pozycja Polaków nadawała się do obrony, nawet przed tak dużą ilością atakujących, ale nie mogli siedzieć tu w nieskończoność.

— Poljaki sołdaty! — krzyknął nowy herszt. — Podnieśli ruki i wychadzi przed dom.

— Trzeba się przebić — oznajmił Zieliński. — Musimy się utrzymać do zmroku, potem zaatakujemy. Jeśli zrobimy wyrwę na północny zachód, to skorzystamy z vana i ruszymy żwirówką w góry.

— Szefie — zaprotestował Burski — ale co z Wyrkiem?

Jacek nie widział innego rozwiązania, niż to, które dyktowało mu poczucie obowiązku. Widok skrzepowanego przyjaciela wywoływał ból w piersiach i brak tchu. Plutonowy starał się opanować, oddychał płytko i nierówno, co nie umknęło uwadze żołnierzy. Wiedzieli, że zanim zacznie się strzelanina, ich dowódca już toczył walkę. W rzeczywistości była to próba odzyskania samokontroli. Jacek nie mógł rozkleić się na oczach żołnierzy. Spoglądał to na nich, to na Wyrka. Wiedział jednak, że innej decyzji nie podejmie. Musiał tylko wyciszyć sumienie i wreszcie opanować drżenie rąk.

— Sołdaty! — Megafon znów zabrzączał. — Dajem wam pięć minut! Potem zabiju waszewo druga!

Pojedyncza minuta w salonie trwała o wiele dłużej niż na zewnątrz. Polacy zdawali sobie sprawę z własnego położenia, ale żaden nie miał zamiaru się poddać. Byli zbyt dumni na to. Byli twardzielami z siódmego plutonu, operatorami ciężkich pancerzy wspomaganych, obrońcami Polski i Polaków. Nie chcieli być bohaterami, ale postanowili, że nie będą tchórzami. Jakby wyczuwając myśli swoich polskich kolegów, Milić mruknął:

— Pizda, pizda.

Wszyscy kiwnęli głowami.

— Kapral Paździec — rozkazał Jacek — proszę zniszczyć wrogi cekaem. Na twój znak reszta otwiera ogień.

Partyzanci trwali w oczekiwaniu odpowiedzi Polaków. Nagle w jednym z okien pojawiła się lufa granatnika, z której odpalił pocisk. Rozstawiony na podwórku cekaem

wyleciał w powietrze, a jego obsługę rozrzuciło na boki. Natychmiast odezwały się karabiny szturmowe, zasypując bojowników deszczem kul. Kilku padło od razu, podniosły się krzyki. Plutonowy Zieliński zastrzelił partyzanta, który trzymał Wyrka. Polak zerwał się z kłęczek i rzucił do ucieczki, lecz złapało go trzech bojowników, którzy z jeńcem zniknęli w cieniu sąsiedniego domu. Pierwsza runda należała do Siódemki, udało im się rozproszyć formację wroga, ale to był dopiero początek. Zmasowany ostrzał przeorał wszystkie ściany budynku. Przed głównym wejściem wybuchło kilka granatów. Ściana kurzu ograniczyła pole widzenia Polaków, co kilkunastu napastników chciało wykorzystać. Dopadli do muru okalającego posesję i zaczęli się wspinać. Reszta postawiła gęsty ogień zaporowy, przez co Polacy niewiele mogli zrobić.

— Dajcie im wleźć! — krzyknął Jacek.

Grupa szturmująca dom znalazła się na posesji i wtedy z okien pofrunęło pięć granatów. Wybuchy zmiotły większość atakujących, resztę operatorzy dobili precyzyjnymi strzałami. Ostrzał partyzantów osłabł, lecz nie ustał. Kolejna grupa próbowała obejść dom od północy, aby wzmocnić ostrzał z lasu.

— Paździec, wesprzyj Burskiego — rozkazywał plutonowy. — Przenieś granatnik na tył. Nie pozwólcie im się połączyć!

Nie było to łatwe zadanie, ponieważ wnętrze salonu przypominało gniazdo os. Między oknami roilo się od zabłąkanych kul, odłamków i rykoszetów. Wieczne słońce kładło długie cienie na podłogę, a w smugach światła kłębił się dym. Kapral Paździec, mrużąc oczy, znowu zaczął się czołgać. Tym razem nie odważył się ruszyć na wprost. Pełził wzdłuż ścian, kryjąc się pod parapetami. W końcu udało mu się dotrzeć na wąski korytarz, przemknął wzdłuż resztek baru, odgradzającego salon od zdemolowanej kuchni. Kapral przylgnął do muru obok wyjścia na taras, załadował granatnik i wychylił się na zewnątrz. Odpalił pocisk, lecz w tej samej chwili coś uderzyło go w podbrzusze. Żołnierz zachwiał się i padł na posadzkę. Na podwórku rozległ się wrzask ludzi, rozerwanych granatem i tym samym próba wsparcia partyzantów z lasu definitywnie się skończyła. Burski wciągnął kaprała do kuchni i przyjrzał się ranie. Paździec zaciskał zęby i sęczył przekleństwa.

— Kapral ciężko ranny!

— Skowron — polecił plutonowy — kryjesz tył!

Szeregowy Dawid Skowron ostrzeliwał się z pierwszego piętra, wybierając cele w nieco większej odległości od domu. Po odebraniu rozkazu, przeniósł się do przeciwle-

głej sypialni i zaczął wyłuskiwać sylwetki kłębiące się na skraju lasu. Tymczasem Burski odpiął przedni płat kamizelki Paździeca, rozerwał koszulkę i tuż pod pępkiem zobaczył obficie krwawiącą dziurę. Kaprał drżał, próbował dociskać ranę, lecz sprawiało mu to wielki ból. Burski wsunął rękę pod kamizelkę na plecach, lecz nie wymacał wylotu pocisku. Wyciągnął opatrunek i zaczął tamować krwawienie. Niewiele to pomogło. Paździec gasł w oczach. Nie miał nawet siły kląć. Po niecałej minucie już nie żył.

Burski wyjął magazynki z ładownic zabitego kolegi i wrócił na pozycję przy tarasie. Pierwszą salwę zadedykował w myślach poległemu kumplowi, mechanikowi samochodowemu z Koszalina, który poszedł do wojska, żeby zaimponować ojcu.

Plutonowy Zieliński prowadził ostrzał od frontu. Dwie kule wpakował w plecy bojownika, który pod osłoną niskiego płotu, chciał wycofać się w dół ulicy. Były to ostatnie wystrzały w tej rundzie.

— ACE report — polecił Jacek. Żołnierze kolejno zgłaszali się przez radio i zdawali relację ze stanu amunicji, ofiar i wyposażenia. Prócz Jacka, zostało ich jeszcze trzech. Obyło się bez ran, za to amunicja powoli się kończyła. Milić dodatkowo zameldował, że Mihai schował się pod łóżkiem i głośno krzychał modlitwy do boga o litość i przebaczenie.

— Mięczak — skomentował Burski. — Panie plutonowy, a może byśmy spróbowali jakoś Wyrka odbić, co?

Jacek głęboko odetchnął. Zarówno on, jak i Janek Burski, wiedzieli doskonale, że byłaby to misja samobójcza. Co innego trwać na dobrej pozycji, a co innego zaatakować partyzantów, których pewnie ciągle przybywało. Udało się nieco ostudzić ich zapał, ale nikt nie miał wątpliwości, że kolejny atak rozpocznie się lada moment. Jacek nawet powątpiewał w możliwość przebicia się i ucieczkę vanem. Myśli plutonowego powędrowały w odległą przeszłość, gdy razem z Wyrkiem jeździli na Mazury. Przypomniawsobiesobie upalne lata, które obaj chłopcy spędzali kąpiąc się w rozlewiskach Krainy Wielkich Jezior albo włócząc po wiejskich bezdrożach. Mazury kojarzyły się Jackowi z Rumunią. Upał, polacie wyschniętej, brązowej trawy, kurz na drogach, chrzęst kamyków pod nogami, gdy wędrowali od wsi do wsi w poszukiwaniu przygód. Dokładnie tak, jak tutaj, pomyślał Jacek. Przypomniawsobiesobie, jak kiedyś, gdy mieli po trzynaście lat, znaleźli w krzakach całujące się dziewczyny. Obie kończyły właśnie gimnazjum i eksperymentowały z seksualnością. Chłopcy nie ujawnili się, tylko nagrali dziewczyny smartfonami, a potem opublikowali film w sieci. Straszna była z tego awantura. Rodzice

dziewczyn dowiedzieli się, kim byli podglądacze i wytoczyli ich rodzinom proces. Skończyło się grzywną i długotrwałym szlabanem na używanie telefonów, w komplecie z zakazem wychodzenia z domu. Najśmieszniejsze było to, że parę lat później Wyrek spotkał jedną z dziewczyn na imprezie. Miała na imię Magda. Jacek do dziś nie odgadł jak to możliwe, że Wyrek i Magda zostali parą i przez dwa lata chodzili ze sobą.

Z zamyślenia Jacka wyrwał głos Burskiego.

— Panie plutonowy — rzekł szeregowy. — Wyjrzy pan.

Jacek ostrożnie wyjrzał za okno. W odległości może pięćdziesięciu metrów od bastionu Polaków pojawili się partyzanci. Pomiedzy nimi klęczał Wyrek. Do gardła miał przytkniętą maczetę. Żołnierze usłyszeli z megafonu kolejny skrzeczący komunikat.

— Poljaki! My wasz ukaramy! Budzicie boga sja bać!

— O kurwa, zrobią to — jęknął Burski.

— Poljaki, smatricje?

Jeden z bojowników przejechał maczetą po gardle Wyrka. Krew obficie popłynęła z szerokiej rany, barwiąc kamizelkę kuloodporną. Starszy szeregowy Tomasz Wyrkowski wybałuszył oczy, zakrztusił się, zakołysał i padł na twarz. Jacek nie wytrzymał. Wrzasnął głośno i nie szukając osłony, zaczął strzelać. Pustego magazynka nie schował do worka zrzutowego, tylko upuścił na podłogę i natychmiast wsadził nowy. Kule karczowały krzaki, orały ziemię i fasady sąsiednich budynków. Żaden partyzant się nie wychylił. Jacek opróżnił drugi magazynek i gdy sięgnął po kolejny, powstrzymał go Burski.

— Panie plutonowy — powiedział — wystarczy.

Jacek spojrzał mu głęboko w oczy. Stał tak przez chwilę, ciężko sapiąc, po czym skulił się pod ścianą i rozplakał. Myślał głównie o swojej córce, Zosi. Bardzo chciał ją zobaczyć, jeszcze choćby raz. Szarpały nim spazmy żalu i strachu. Nie zarejestrował nawet, kiedy powietrze znowu zapełniło się świstem kul, smrodem prochu i furkotem odłamków. Jacek kulił się w sobie, mamrocząc imię córki. Nie do końca zrozumiał, co się stało, gdy do salonu wbiegł ranny Milić. Jego policzek wyglądał, jakby ktoś na nim rozgniótł garść czereśni. Krew ciekła na kewlarowe podgardle i znikła w podpince kamizelki.

— Mihai uciekł — zameldował Rumun.

Plutonowy nie odpowiadał. Milić podniósł dowódcę z ziemi i popchnął go na ścianę.

— Panie plutonowy, słyszał pan? Obudź się człowieku!

— Co się stało? — zapytał przykucnięty pod parapetem Burski.

— Zrobiło się zamieszanie — wyjaśnił Mario Milić. — Nawet nie zwróciłem uwagi, przyjeżdżał mi czymś i wyrwał przez okno.

Burski chciał o coś jeszcze zapytać, lecz nie było już kogo. Szyja szeregowego Milića wypłynęła z siebie strumień krwi. Żołnierz postąpił kilka niepewnych kroków, przycisnął dłonie do rany, by zatamować krwotok. Kolejna kula odbiła się od jego naramiennika, a trzecia zniknęła pod pachą. Milić padł bez ducha. Burski chciał odpowiedzieć ogniem, lecz nie mógł się podnieść, by nie zostać trafionym. Wrzeszczał na Jacka, by ten się ogarnął i zaczął strzelać, ale do plutonowego nic nie docierało. Nie zorientował się, że na posesji zaroilo się od partyzantów. Nastąpiło kilka eksplozji, kilku ludzi wdarło się do salonu, zaczęła się chaotyczna szarpanina, do której dołączył Skowron. Szeregowy zastrzelił z pistoletu dwóch napastników, Burski próbował wycofać się na tył budynku, lecz tam również zrobiło się tłoczno. Kolejny wybuch granatu wstrząsnął salonem. Odłamki powaliły większość kotłujących się wewnątrz partyzantów. Skowron i Burski dobili resztę z broni bocznej. Złapali Jacka pod ramiona i wybiegli na zewnątrz, w nadziei przebicia się do vana. Na podwórku oddali kilka strzałów, po czym zamarli, widząc kilkanaście luf, wycelowanych w ich kierunku. Zostali unieruchomieni, związani i wyprowadzeni przed dom. Tam czekała na nich kolejna niespodzianka. Partyzantami zawiadywał ubrany w hełm i kamizelkę Mihai Voinea.

11.

Jackowi ściągnięto kaptur z głowy dopiero następnego dnia. Po walce w Codlea zapakowano go razem ze Skowronem i Burskim do busa i wywieziono. Zieliński miał wrażenie, że pojechali na południe, do Brasov, ale nie był pewien. Po dotarciu na miejsce żołnierzy rozdzielono i zamknięto w celach. Plutonowy spędził kilka godzin na zimnej podłodze. Budził się i przysypiał, aż w końcu ktoś go podniósł i wyprowadził. Znalazł się w małym pokoju bez okien, oświetlonym pożółkłym żyrandolem. Dwóch partyzantów posadziło go przy stole z rękami związanymi z przodu. Podstawili mu talerz z obiadem i pozwolili zjeść. Gdy skończył, położyli przed nim paczkę papierosów, zapalniczkę i postawili butelkę piwa. Po chwili do pokoju wszedł Mihai. Jacek uśmiechnął się widząc Rumuna.

— Mail do mamy?

— Dziwisz mi się? — odparł Mihai.

— Nie. Dziwię się sobie, że dałem się wkręcić. — Jacek wyjął papierosa i zapalił. Dym podrażnił płuca, ale przyniósł ulgę. Uspokoił rozpedzone myśli i pozwolił się skupić.

— Mam do ściemy talent — rzekł Mihai.

Jacek przez chwilę palił w skupieniu.

— Ostatni posiłek, tak?

Mihai nie odpowiedział, a plutonowy w obliczu śmierci zachował dziwny, wręcz nienaturalny spokój.

— Bez sensu. A wymiana jeńców?

— W dupie mam jeńców, ale owszem, negocjacje będą. Tylko najpierw pokażemy twojemu sztabowi, że nie ma żartów.

— Dla kogo pracujesz?

— Na pewno nie dla nich — odparł Mihai, wskazując strażników. — To płotki. Dostaną skrawek pustyni i założą sobie kalifat. Minie trochę czasu, a potem się ich zlikwiduje.

— W takim razie kto ci płaci?

— Świat, proszę pana.

Jacek uniósł brwi.

— Ta część świata, która ma dosyć panów Amerykanów i panów Europejczyków. W tym panów Polaków.

— Widzę, że naprawdę masz problem.

— Opowiem ci krótką historię. Jestem naturalizowanym Rumunem, faktycznie pochodzę z Algieru. Moja matka uciekła z tysiącami ludzi do Europy. Miałem wtedy pięć lat. Znaleźliśmy się w obozie uchodźców w Polsce. Wasz rząd długo się zastanawiał, czy w ogóle nas wpuścić. W końcu naciski Brukseli zmusiły Polaków do przyjęcia emigrantów. A potem zmieniła się władza. Nowy rząd zmienił kierunek, pokazał gdzie ma Brukselę i wyrzucił nas z powrotem do Afryki. I wiesz, co się stało? Moją mamę zgwałcił oddział policji w Egipcie. Oddział, rozumiesz? Cały oddział. Ja stałem obok i patrzyłem. Po czwartym z kolei mama przestała płakać. Patrzyła na mnie i się uśmiechała. A ci ją gwałcili. I oto, w skrócie, masz wykładnię ideałów europejskich praw człowieka.

— Aha. Pracujesz dla tej armii, która ma takie prawa człowieka, że morduje cywili na drogach.

— Jeśli chcesz wywołać we mnie wyrzuty sumienia, to sobie daruj. Wiem, co się dzieje w Rumunii i na Bałkanach. I wiesz, co? Niedługo to samo będzie w Polsce.

— Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę.

Mihai wstał.

— Masz prawo do ostatniego życzenia.

— Chcę porozmawiać z córką.

12.

Katarzyna wróciła z zapłakaną Zosią do domu. Powodem smutku i łez była babcia, która zabrała dziewczynkę z przedszkola i zapowiedziała, że więcej tam nie pójdzie. Poszło o zajęcia, na której nauczycielka tłumaczyła dzieciom, że ludzie, jak wszystkie zwierzęta, podlegają prawom ewolucji i rozwinęli się z gatunku, który był wspólnym przodkiem ludzi i współczesnych małp. W związku z tym Katarzyna została przez matkę zrugana za męża komunistę, Żyda i zboczeńca, który zostawił dziewczyny na pastwę losu, a sam uciekł szukać przygód. Teściowa Jacka zapowiedziała, że więcej nie wyłoży pieniędzy na placówkę, w której zmuszają dzieci do „ananizmu”. Stwierdzenie było absurdalne, bo matka Katarzyny nigdy nie płaciła za przedszkole, ale uzurpowała sobie prawo do decydowania o przyszłości wnuczki.

Zosia pobiegła do swojego pokoju i zamknęła się. Katarzyna próbowała przekonać córkę, by wyszła na obiad, gdy rozległ się dźwięk smartfonu. Katarzyna ucieszyła się, widząc połączenie od męża.

— Dobrze, że dzwonicz — powiedziała. — Może ty ją przekonasz, żeby wyszła z pokoju.

— Tak — odparł sztywno Jacek. — Daj mi tu Zochę.

Katarzynie nie spodobał się wyraz twarzy męża. Na ekranie smartfona nie widziała za dobrze, ale odniosła wrażenie, że Jacek był dziwny, nawet głos miał inny.

— Co się dzieje? — zapytała Jacka. — W sieci trąbią o wielkiej ofensywie. Że podobno wycofują wojsko do Polski. To prawda? Też wracasz?

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił Jacek. — Daj mi Zochę.

Katarzynie bardzo się ta odpowiedź nie spodobała. Wyraz twarzy męża świadczył o tym, że działo się coś naprawdę złego.

— Zosiu — zawołała Katarzyna. — Tatuś dzwoni.

Po chwili drzwi od pokoju się uchyliły, a zapłakana dziewczynka wzięła telefon od mamy. Ucieszyła się na widok ojca i szybko mu opowiedziała, co się dzisiaj wydarzyło.

— Posłuchaj mnie, córeczko. — Jacek miał kołek w gardle i trudno mu było mówić. — Pamiętaj, że bardzo cię kocham, dobrze? I mamusia też cię kocha. I nawet babcia, chociaż jest głupia.

— Jacek — zaprotestowała Katarzyna.

— Powiedz mamusi — kontynuował Jacek — że ma cię trzymać z daleka od babci, jasne? Żadnych więcej głupot. Mamusia dostanie niedługo bardzo dużo pieniędzy z wojska i wtedy wyjedziecie do innego kraju. A tam będziesz miała lepsze przedszkole i dużo koleżanek. Rozumiesz, Zosiu?

Dziewczynka ucieszyła się i przytaknęła. Nie zwróciła uwagi, że jej mama oparła się o framugę i zaczęła płakać.

— Tatusiu, a kiedy wrócisz? Bo ja już nie chcę z babcią chodzić do przedszkola.

— Nie wiem, kiedy wrócę — skłamał Jacek — ale nie przejmuj się. A teraz daj mi mamusię do telefonu.

— Jacek — wystękała Katarzyna — co ty opowiadasz? Jaką kasę z wojska?

— Cicho bądź i mnie słuchaj. Musisz wyjechać z Polski, rozumiesz? Spakuj Zośkę i wyjeżdżaj na Wyspy. Natychmiast.

— Jak to?

— Jak najszybciej. Kasę się nie martw. Masz dostęp do moich kont, mam odłożone. A niedługo dostaniesz odprawę.

— Jacek, przestań!

— Kaśka, masz zrobić, jak mówię.

— Tatusiu — wtrąciła się przestraszona Zosia — dlaczego mama płacze?

— Córeczko — powiedział Jacek ze łzami w oczach. — Tatuś bardzo cię kocha.

Połączenie urwało się.

Koniec